Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

17920

NOWOŚCI LITERACKIE TOM XIV

RUŻENA SVOBODOVA

BŁOGOSŁAWIONY

17920
B.P. im. Ł.

1909 LWÓW
ADOWSKIEGO

1000072179

17920

BŁOGOSŁAWIONY.

„NOWOŚCI LITERACKIE"

Tom I. *K. Tetmajer* Z WIELKIEGO DOMU. Cena kop. 65, w opr. 85.
Tom II. *Jan Lorentowicz* MŁODA POLSKA I. Cena kop. 65, w oprawie 85.
Tom III. *Mieczysław Srokowski* ICH TAJEMNICA. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Tom IV. *T. Jaroszyński* W NAWIASACH ŻYCIA. Cena kop. 60, w oprawie kop. 80.
Tom V. *Jan Bełcikowski* LEON TOŁSTOJ. Cena kop. 80, w opr. 1.—
Tom VI. *Maciej Wierzbiński* W PRZEKLĘTYM DOMU. I. Cena kop. 45, w oprawie 65.
Tom VII. *Maciej Wierzbiński* W PRZEKLĘTYM DOMU. II. Cena kop. 45, w opr. 65.
Tom VIII. *Jan Lemański* PRAWO WŁASNOŚCI. Cena kop. 65 w opr. 85.
Tom IX. *A. Kallas* ONA I ONI. Cena 60 kop. w opr. 80 kop.
Tom X. *Stanisław Cieszkowski* ALEKSANDER I A KONSTYTUCYA. Cena kop. 50 w opr. 70.
Tom XI. *Stefan Kiedrzyński* ROZKOSZ ŻYCIA. Cena kop. 50 w opr. 70.
Tom XII. *Gustaw Olechowski* WZDŁUŻ AZYI. Cena kop. 60 w opr. 80.
Tom XIII. *A. N. Nowaczyński* CO CZASY NIOSĄ. Cena kop. 60 w opr. 80.

144151
832273

NOWOŚCI LITERACKIE TOM XIV.

Rużena Svobodova

Błogosławiony

1664

Tłómaczył

Jerzy Bandrowski

WARSZAWA 1909 LWÓW
Księgarnia ST. SADOWSKIEGO

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Stankiewicz.**
Kierownik Literacki **Gustaw Olechowski.**
Odpowiedzialny za redakcyę we Lwowie **K. Pepłowski**
ul. Dąbrowskiego 6a.

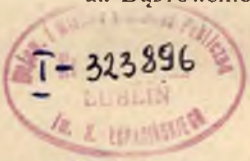

885.0-3

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

WSTĘP.

Zasadniczym tonem literatury czeskiej jest melancholia. Jest to może skutkiem dzisiejszych warunków życia politycznego narodu czeskiego, a może także dziedzictwem, pochodzącem z czasów walk o wiarę i ucisku religijnego. Jest to rdza pokrywająca zwierciadło narodowego ducha.

Na psyche czeskiego autora, prócz innych motywów właściwych wszystkim poetom, składają się jeszcze dwa uczucia: świadomość wielkiej krzywdy historycznej i znużenie pochodzące z nieustannej, jeśli nie beznadziejnej, to w każdym razie ogromnie ciężkiej walki na śmierć i życie. Naród czeski, z usposobienia łagodny i zgodliwy, cierpi nie wskutek jakichkolwiek strat lub niepowodzeń, ale już wskutek konieczności owej walki kulturalnej, wprost przeciwnej jego kulturalnym ideałom, a przeto powstrzymującej go w rozwoju.

Pragnienie szczęścia, wrodzone każdemu człowiekowi, u artysty występuje jako dążenie do harmonii, piękna. Prawda, równocześnie z tem uczuciem rodzi się jakiś ból—„Weltschmerz", jak

mówią Niemcy, ukochanie bólu w rozkosz przechodzące. Czesi nie są zdolni do tego uczucia, to znaczy,—nigdy nie może ono być u nich głównym motywem twórczej pracy, jak to było w Anglii, we Francyi lub w Rosyi. Stąd też „byronizm“, który gdzieindziej przyniósł tak obfite owoce, w Czechach nie zapuścił głębiej korzeni. Czeski pogląd na świat jest pogodny i jasny, jak i cała ziemia czeska ze swym pełnym wdzięku, łagodnym charakterem; gdy mgły zawisną nad temi zielonemi łąkami, obficie nawodnionemi, między wzgórzami i lasami, pielęgnowanymi nakształt wielkich parków, to te mgły świecą w słońcu i błyszczą, do muślinowych zawojów podobne. Czech najchętniej tworzy z ukochania swej sztuki, swego „rzemiosełka“ artystycznego, ze swej radości życiowej. Tak tworzył kiedyś za czasów luksemburskiej dynastyi, kiedy artystyczne rzemiosło, snycerstwo, płatnerstwo stało w Czechach na równi z produkcyą najkulturalniejszych krajów Europy, kiedy z fabrykantami czeskimi rywalizowały niemieckie, francuskie i włoskie. Dziś praca taka, spokojna i radosna, ustąpiła miejsca gorączkowym wysiłkom walki konkurencyjnej, w której mały, siedmiomilionowy naród zmagać się musi z tylekroć liczniejszą masą niemiecką. Ta walka daje nieraz satysfakcyę zwycięstwa, ale nie daje szczęścia, a pochodzące z niej uczucie znużenia osłabia i zniechęca. Stąd w całej literaturze czeskiej owa nostalgia do wyśnionego „Nowego Królestwa“, do jakichś odległych dziedzin harmonijnego szczęścia, którego tu niema, lecz które kiedyś przyjdzie, gdy światu pano-

wać będą—Rozum i Serce... Bo jeśli cudzoziemcowi przejeżdżającemu przez Czechy serce taje na widok bezprzykładnie starannie obrobionych pól, połyskujących ciężkiem złotem w słońcu, upstrzonych pstrymi makami, poczynając od purpurowych a skończywszy na blado-lila ciemno nakrapianych, na widok tych stawów rybnych, wiosek schludnych, miasteczek,—choć małych, to przecie pracowitych i przemysłowych, to cóż dopiero mówić o czeskim poecie, który z tego ludu wyszedł, który wie, że lud jego wykształceniem, dobrocią i pracowitością przewyższa wiele innych, że kochając swą rozkoszną ziemię, mógłby być szczęśliwym i ma wszelkie warunki po temu — prócz zgody i pozwolenia silnego sąsiada! Stąd ten zgrzyt, te wybuchy wściekłości u Machara, to oburzenie i pogarda u Antonina Sowy, ironiczny sceptycyzm Szaldy, stąd też ta dziwna, tkliwa tęsknota Swobodowej...

Jej „Błogosławiony“ jest dziecięciem takich tęsknot. Myliłby się bardzo, kto chciałby uważać ten utwór za dzieło choć w części tendencyjne. O. Gilbert jest człowiekiem, który chce kochać życie, lub żyć kochając, i cierpi — na głód serca...

Jako artystka jest pani Swobodowa ogromnie wrażliwa i delikatna, o iście kobiecej miękości, entuzjastyczna, lecz nie pozbawiona owego czysto kobiecego zamiłowania do szczegółów, zamiłowania, pochodzącego, zda się, dziedzicznie z pracy nad delikatnemi robótkami koronkowemi i ozdobnemi wyszywaniami. Koloryt jej jest trochę słodkawy czasem, lecz zaw-

sze bardzo harmonijny, syty i pełny. W artystycznej jej genealogii bezwątpienia niepoślednie miejsce zajmują Jacobsen i d'Annunzio. Wszyskie jej utwory odznaczają się bystrą obserwacyą, świetnym sposobem opowiadania i nadzwyczajnie subtelnym rysunkiem typów. Powieści: „Ztroskotano" (Rozbitki), „Na piszczite pudie" (Na piaskach), „Zamotana vlakna" (Zamotane włókna), „Milenky" (Miłośnice); nowele: „Przetiżeny klas" (Przeciążony kłos), Pieszinkami serdce" (Ścieżkami serca), „Plameny i plaminky" (Płomienie i płomyczki), „Marne lasky" (Daremne miłości). Wszystkie jej prace, poczynając od realistycznej, refleksyjnej noweli, osnutej na tle życia morawskich Słowaków, a skończywszy na wielkiej powieści „Miłośnice" na tle praskiem, są niezmiernie zajmujące i wielkiej wartości artystycznej.

Jerzy Bandrowski.

I.

Na zrąb padały blade promienie wrześniowego słońca. Zrąb żył życiem przedzimowem. Osty mozaikowo rozkładały się po ziemi, inne zaś, wysokie, jak drzewa, wypuszczały swe miękie, uskrzydlone nasiona, podobne do pająków i, jakby białym jedwabiem otulone, długo nad zrębem unoszące się w powietrzu. W krzaczkach kwitła gorczyczka, a znów krwawnica, czerwona w lecie, osiwiała, jak staruszka.

Na skraju zrębu, nad łąką leśną głęboko skłaniającą się, siedział pastuszek i przyglądał się wędrującemu przez powietrze puchowi, tak troskliwie dbającemu o zachowanie gatunku ostów. Na kolanach trzymał rozłożoną książkę, którą czytał przed chwilą. Była to ewangelia, księga stara, pradziadowska.

Siedział przy drodze, którą ludzie chodzili w góry, skąd tak szeroki rozlegał się widok. Z otwartej przed nim stronnicy czytał ten koniec baśni:

— I wygnał człowieka i otoczył ogród Eden od strony wschodniej strażą cherubinów, dzierżących miecze płomienne, lśniące,— strażą, strzegącą drogi do drzewa żywota.

— Nie, ono nie może być straconem, piękne drzewo Żywota nie może być straconem! — powiedział do siebie pastuszek z całem przekonaniem i uśmiechał się radośnie, jakby już rano na drugi dzień chciał wyruszyć w drogę i szukać drzewa Żywota w dalekich ogrodach, w ogrodach, strzeżonych przez Cherubiny. A dokoła niego konały kwiaty minionego lata, wesoło i radośnie wypuszczając swe nasiona.

Z gór schodzili ludzie.

Przeszedł koło niego wielki uczony, który rozmyślał po drodze o ostatnim zjeździe przyrodników, o długich, nudno-zajmujących odczytach, o bankietach z szampanem i toastach, osławiających ugodę fińsko-algierską. Przeszedł koło chłopca nie zauważywszy go.

A potem minął go muzyk z wielką fryzurą ułożoną z nielicznych, jak ze zmoklego ptaka zwisających włosków. Podrygiwał tro-

chę z nogi na nogę, dumając o sławie minionej wiosny i przyszłej zimy. Przechodząc koło chłopca sięgnął do kapelusza i piskliwym głosikiem powiedział mu „Dzień dobry", choć słońce skłaniało się ku zachodowi.

Chłopak-pastuszek nie myślał o nich. Serce biło mu silnie, bo oto w duchu stał już przed ogrodem strzeżonym przez Cherubiny.

Z gospody, u stóp gór leżącej, wyszedł ksiądz i skierował się również ku drodze przy której siedział chłopiec.

Stanąwszy przy nim, wziął księgę leżącą na jego kolanach i zamknął ją.

— Nie, to nie dla ciebie! — mówił ten wieczny agitator wyborów Boga. — Nie rozumiesz tego i mógłbyś źle sobie tłumaczyć. Dam ci zato co innego. — I wyjąwszy z kieszeni inną książkę, „Żywoty Świętych", dał mu ją, a wziął Ewangelię pradziadowską.

I tą chwilą stworzył pasmo jego dziwnego, smutnego a pięknego przeznaczenia, pełnego przedziwnych przygód, bojów i burz, a wreszcie ostatecznego, pięknego pokoju.

Chłopiec siadywał na zrębie, ale nie czytał już słów nadziei i wielkiego oczekiwania; rozczytywał się w księdze śmierci i zaparcia

się siebie. Siedział tu jeszcze o pierwszych mrozach z nogami owiniętemi workiem, złożonemi rękami obejmował kolana, patrzył w dal, w mgły, na niskie chmury i chciał stać się misyonarzem, iść gdzieś daleko w świat głosić słowo boże i umrzeć w opuszczonej chacie na słomie, na brzegu morskim, jak św. Franciszek Ksawerski.

Ze wszystkiego podobała mu się najbardziej ta romantyka śmierci. Chodził do księdza, od którego pożyczał coraz to nowsze książki, a myśl, by stać się mu podobnym, opanowywała go coraz jaśniej i jaśniej. Ksiądz powtarzał mu często: — Jestto stan najwyższy! — i wyjaśniał mu, jakby go przy swem ubóstwie najłatwiej osiągnął.

Matka, wdowa z zadłużoną chałupą, oddała go na jego prośby do szkół. Wytłumaczył jej, że potrzebuje ukończyć tylko kilka klas, poczem wyjedzie do Ameryki i wstąpi do Benedyktynów w Pensylwanii do St. Vincent Abbey, gdzie skończy szkoły.

Matka zgodziła się na wszystko. Znalazła dla syna mieszkanie u woźnicy, biedaka, który miał małą izdebkę z jednem łóżkiem. Jeśli był w domu chłopak, sypiał z nim razem, gdy jeździł za zarobkiem, chłopiec żył w osamotnieniu. Nieraz było mu smutno.

Okno pokoju, znajdującego się napół pod ziemią, było zakratowane, a wychodziło na ogród sąsiednich koszar. W lecie zarastały je burzany. Trębacze wojskowi ćwiczyli się przed nim.

Dobrał sobie jeszcze towarzysza. Sypiali na łóżku we trzech. Płacili miesięcznie reńskiego czynszu. Na każdego wypadło piędziesiąt grajcarów.

Dwa razy na tydzień przynosiła mu matka dzban kawy i bochenek chleba. Kiedy przychodziła,—był w szkole. Stawiała jedzenie na stole i pisała na nim kredą: — Całuje cię twoja matka — poczem odchodziła.

Kawę sobie w południe odgrzewał. Jeśli się śpieszył,—pił zimną. Uczył dwoje małych dzieci za reńskiego miesięcznie. Żołnierze dawali mu do czyszczenia rękawiczki. W czternastym roku życia miał już dziesięć reńskich uzbieranych na drogę.

Oznajmił matce, że odjedzie.

Przestraszyła się tego.

— Umrę, jeśli odjedziesz! — rzekła mu stanowczo.

Nikogo prócz siebie na świecie nie mieli. Byliby się na wieki rozstali. Został. Nie wypełnił mu się tedy jego sen. Wiedział, że nie pójdzie w daleki świat głosić słowa

Bożego, że nie umrze w chacie na słomie na brzegu dalekiego morza samotny po dokonanej pielgrzymce, a tem stał się o coś uboższym.

Ale ponieważ był cichy i pokorny, nikt tego po nim nie poznał.

Matka nosiła mu znowu kawę w dzbanie, pisała kredą na stole zwięzłe pozdrowienia, rzadko kiedy widywała go, a przecież nim tylko żyła. Tak ukończył szkoły i wstąpił do klasztoru.

W klasztorze nazwano go Gilbertem.

Zaledwo go towarzysze poznali, przezwali go „panienką". Ktoś to słowo raz rzucił i tak już zostało.

I rzeczywiście miał delikatną dziewczęcą twarz. Była zawsze jednako różowa a delikatna, jak jedwab. Gdy kto powiedział dwuznacznik, śmielsze słowo, czerwienił się i ogarniało go zmieszanie, z którego się drudzy śmiali.

Przełożony ich, mistrz nowicyuszów, człowiek bojaźliwy, starał się przez całe życie o to, aby w swem otoczeniu uchodził za świętego. Spuszczał wciąż oczy, jak przed pokuszeniem. Nigdy nie spojrzał na kobietę. Jeśli musiał podać rękę staruszce, ledwo jej dotknął paznogciami. Wyglądał jak ktoś,

kto nie jest pewny siebie, kto nie ręczy za siebie, kto boi się świata, jak wyleczony pijak szklanki, wiedząc, że byłby straconym, jak tylkoby się jej dotknął. Wyglądał nie jak święty, ale właśnie raczej jak wielki grzesznik, który nie odpokutował swego złego czynu, jak ktoś, kto zgubił i wypaczył swoje serce. Ale Gilbert widział go takim, za jakiego chciał uchodzić.

Z rąk woźnicy przeszedł w chłodne, konsekwentne, nieżywotne ręce mnicha.

Nie poznał—ani ludzi, ani świata.

Wkrótce po wyświęceniu posłano go na wieś, do opactwa, w którem zachorował wikary.

Przeorem był tam mnich, który kiedyś wymienił mu książki i przeznaczenie.

O. Gilbert cieszył się na niego, na zobaczenie z tym świętym mężem, marzeniem swego dzieciństwa.

Wybierał się w podróż na wieś, jak do Japonii. Wyobrażał sobie swą działalność wybitną, pełną wielkich ofiar, jak w tragedyi, i tęsknił do niej.

II.

Ku wieczorowi przyjechał na wieś, do starego klasztoru, zamieszkałego tylko przez dwóch mnichów.

Z dworca kolejowego jechał równiną wzdłuż wielkich łąk upstrzonych żółtymi jaskrami, roztrzepanemi smołkami, i obok rozległych pastwisk, na których chłopcy paśli wielkie stado krów.

Z gładkiej równiny wyrastały tu góry porosłe lasami, otulonymi w tej chwili modrą mgłą. W środku łąki, obok której przejeżdżał, niby zabawka na kobiercu stała drewniana chałupa okolona rzeźbionym ganeczkiem ze schodami wewnątrz domu.

W drzwiach zjawiła się młoda dziewczyna biało ubrana z czerwonemi wstążkami u ramienia.

W rękach niosła cały pęk różnobarwnych, rozświeconych lampionów i poczęła rozwieszać je na dolnym brzegu rzeźbionego ganeczka.

Zaświeciły pstro w żywem jeszcze, pięknie modrawem świetle dziennem.

Ze zdziwieniem i radością spoglądał Gilbert na piękne światła, barwne plamy, na wątłe, wzniesione w górę dziewczęce rączki, na czarną, bujnymi włosami uwieńczoną główkę.

Wózek toczył się wciąż naprzód, obrazek oddalał się coraz bardziej, a Gilbert

uśmiechał się radośnie, jakby mu ktoś dał jakiś miły dar.

— Czyj to domek? — spytał woźnicę.

— A to łąki pana leśniczego ze Studenki. Ta chałupa też do nich należy, bywają w niej o sianożęciu.

Ujrzał przy drodze blado migocący ogień, rozpływający się modrawo w pierwszym zmierzchu, słyszał chrupanie trawy, którą przy drodze poważnie skubała czarna jak sadze krowa, czuł słodką woń łąk i obory i przyszła mu naraz na myśl wieś rodzinna ze wszystkiemi wspomnieniami i snami.

Dojeżdżał do wsi. Leżała wśród lasów na dnie kotliny. Chałupy rozstawiono po zboczach górskich pod samym borem.

Klasztor stał na wzgórzu porosłym trawą, na tle starego lasu, wśród nieskoszonej, kwitnącej łąki, na której krzyżowały się wązkie, wydeptane ścieżki. Dienzenhofer (1-szy znakomity budowniczy jezuicki, stawiał w Pradze kościół św. Mikołaja, kościół prawosławny na „Staromiejskim rynku“ i t. d., jeden z najgenialniejszych architektów baroku. Przyp. tł.) stawiał ten gmach, kryty czerwoną żłobkowaną dachówką, o pięknych proporcyach, od strony drogi osłoniony kwiatowym ogródkiem. Na ścianach potrójnie wy-

malowano zegar słoneczny a u kutych wrót wisiało klepadło: żelazna rybka z wyrzuconym ogonem trzymająca w pyszczku żelazny pierścień.

Za lewym skrzydłem rozciągał się dawny, dziś już zniesiony, cmentarz, pełen sterczących grobów bez tablic, bez krzyżów, zarosły trawą, którą koszono na siano i na otawę. Tylko na jednym jedynym grobie w kącie cmentarza rosły i kwitnęły co rok przez nikogo nie hodowane piwonie. Na tym zapomnianym cmentarzu leżały ciała zmarłych dwóch mnichów.

Przeor wprowadził Gilberta do refektarza. Była to wielka sala z rzeźbionemi ławami, ciągnącemi się wzdłuż ścian. Przed ławami stały ciężkie dębowe stoły. Urządzenie to pozostało z czasów, gdy w klasztorze przebywało dużo znakomitości. Dziś jadano u stołu stojącego w środku refektarza, ponieważ mieszkało tu tylko dwóch mnichów.

Przeor nie był jeszcze stary. Był wysoki i miał śpiczastą czaszkę z wysokiem czołem. W jego oczach było coś dziecinnego, ale usta miał tak podatne, że się mógł śmiać w trzech kierunkach: wąsko, pionowo i na wszerz. Ostre zmarszczki rysowały się koło jego ust w kształt nawiasów.

Był wychudły, jakby cierpiał nędzę i głód.

— No tak, jegomość! — zaczął. — Co prawda, to prawda, dobrze - ście tłuści. Co za szczęście, żem wam wybrał ten wygodny sposób życia. Ostatecznie, jestem bardzo delikatnym człowiekiem, ale co się tyczy reprezentacyi, to niezbyt się nadaję... (Poglaskał się po brzuchu). Na reprezentacyę to już wy pójdziecie. (Wyprostował się naśladując Gilberta). Chyba gdyby proszono (wciągnął w płuca powietrze i zgiął się)—a, to już ja!

Przeor zachichotał, a za nim rozchichotały się i ściany refektarza.

— Właśnie mi tu kiedyś wikaryusz mówił — ciągnął dalej przeor — podkpiwał sobie ze mnie, że wyglądam, jakbym się szarańczą żywił. Ale ja mu odpowiedziałem: Delikatny jestem, ot, w czem rzecz, „noble“; choćbym się samymi bażantami karmił, nie utyję. Ale to tylko „noble“ ludzie...

Gilberta zadziwił ton przełożonego.

— Nie chce się wywyższać nademnie — pomyślał.

Podczas wieczerzy przyniesiono mu list.

Był bez marki pocztowej; posłaniec przyniósł go od kogoś ze wsi.

Zdziwiło go, że już jego imię jest zna-

ne, ale nie otworzył listu z wielkiego szacunku dla przełożonego.

Po wieczerzy zaprowadzono go do pokoju gościnnego, znajdującego się obok wikarówki. Przywitała go woń drzewa schnącego na słońcu.

Na ścianie wisiał malowany kilku purpurowymi odcieniami portret księdza w szkarłatnym płaszczu, siedzącego na czerwonem krześle, o złych oczach czarnych, jakby jakiegoś winowajcy po kątach pokoju szukających. Jedna z czerwieni przypominała barwę lampionków. Był to może jaki kardynał a może papież, dostojnik z XVII wieku. Gilbert zadrżał, stanąwszy twarzą w twarz przed tą podobizną.

Czuł, że tu nie jest sam, że narzuca mu tu ktoś swe przekonanie, swe przejrzałe, może szyderskie, a może znużone przekonanie.

Przystąpił do okna.

Ciężko leżały na górach czarno rozlane lasy. Wieś była ciemna, bez iskier oświetlonych okienek. W dali wrzeszcząco rozlegała się harmonijka i krótki, urywany śpiew.

Przypomniał sobie otrzymany list i zbliżył się do lampy, aby go przeczytać.

— Wielebny ojcze!—pisał ktoś — ośmielam się w sam prawie dzień szanownego przybycia Wielebnego Ojca, zasłać mu prośbę, aby niżej podpisanego raczył pociechą duchową posilić. Mieszkam w pierwszym domku pod lasem. Będę oczekiwał zjawienia się W. O. W pełnej szacunku pokorze oddany sługa i nieszczęśnik Jan Horzky.

P. S. Proszę, aby W. O. raczył nie wspominać o tem J. M. Wielebnemu Przeorowi naszej kolatury.

III.

Rano odprawił Gilbert mszę przed ołtarzem cudownego posągu jednej z świętych panien, które, jako oblubienice ze świętą Urszulą na okręcie do Bretanii wysłane, burze aż na Ren zapędziły, gdzie je Hunowie z luków ustrzelili.

Po mszy obszedł dookoła klasztor. Był wczesny poranek, przez młody gaik bukowy i niestrzyżone podrosty przeświecało słońce. Letni wietrzyk kołysał złotemi główkami jaskru w wysokiej trawie.

Pokrzepiająca woń płynęła z lasu. Za klasztorem, w nizkiej, płaskiej przybudówce

Nr 323896 LUBLIN

okolonej żelaznem ogrodzeniem z motywem skrzypów, znalazł Gilbert coś zajmującego: nizką, parterową kapliczkę. Leżała tam na ziemi płaskorzeźba przedstawiająca śpiącego, a może zmarłego świętego Aleksego, tego niewinnego chrześcijanina, który opuścił ojca, matkę, narzeczoną, przepych, trzystu służebników, dla życia w ubóstwie i poniżeniu, który burzą morską wraz z okrętem uniesiony, z pragnieniem przygód w swem silnem sercu powrócił do ojcowskiego domu i umarł w nim niepoznany, święty i wyczerpany, jako żebrak u schodów, pełen zaparcia się siebie i tęsknoty. W małej, murowanej przybudówce znajdowała się jego kamienna podobizna. Krata przed kaplicą była wyłamana. Sypiali w niej bezdomni tułacze. Kobiety sypały tu kwiaty i wieńce. Gilbert zatrzymał się tu na chwilę. Potem ruszył ku wsi na poszukiwania pierwszego domku pod lasem. Ale wieś budowana była promienisto, a że skutkiem tego domków pod lasem w każdej stronie było dużo, musiał pytać o drogę.

Powiedziano mu, że Jan Horzky mieszka przy głównym gościńcu i że to ten, któremu uciekła żona.

Przed ostatnim domkiem pod lasem rozciągał się odłogiem leżący ogródek bez

kwiatów. Wszystkie okna były skrupulatnie zabite deskami.

O. Gilbert, różowy i świeży, z mięką zmarszczką poczucia powagi swego posłannictwa pośród czoła, otworzył drzwiczki ogródka i domku i stanął w przedsionku.

Nie wiedział, do których z trojga drzwi naprzód zapukać.

Ale zanim się namyślił, wyszedł z prawej strony wysoki człowiek w wojskowej bluzie i powitał go niemym ukłonem i pokornem spojrzeniem oczu, pełnych jakiegoś żałosnego wyrazu. Głowa jego była nizka, okrągła, czoło spłaszczone. Na ciemieniu przeglądała łysina, na górnej wardze jeżył się szczotkowaty wąs.

Zeszedł mu z drogi.

— Proszę jegomości — zaczął — poprosiłem. Nie wiem, czy moja śmiałość nie była zbyt wielką. Proszę wejść.

Gilbert wszedł do jasnej izby umeblowanej nielicznymi sprzętami z politurowanego drzewa olchowego. Uderzył go zapach pleśni, wilgoci i chłód nigdy nie wietrzonego pokoju.

Gospodarz wszedł za nim, stanął wyprostowany, po wojskowemu, ukłonił się, jakby

go kto do tego zmusił, zamglonymi oczami spojrzał na księdza i rzekł:

— Jan Horzky, spensyonowany wachmistrz.

Poczem, odwróciwszy się do umywalni z wiekiem podniósł je; nie było tam przyrządów do mycia. Był to jakiś skład drobnych przedmiotów.

Horzky wziął do rąk małe pudełeczko, wyjął z niego ostrożnie swój bilet wizytowy wraz z jedwabnym papierkiem do ochrony czystości biletów służącym, włożył papierek znowu do pudełka, zamknął je w umywalni, i podając gościowi wizytówkę, dodał cicho

— Pozwolę sobie również...

Ksiądz wziął wizytówkę i czekał.

Horzky poprosił go, aby usiadł.

Usiedli obaj przy stole, na którym kobieca chustka zastępowała serwetę.

Horzky westchnął.

— Proszę księdza jegomości — zaczął— otom ja nad pomyślenie ludzkie nieszczęśliwy człowiek. Zmarnowane moje młode lata! Tak! Spotkało mnie niespodziewane nieszczęście. Małżonka ma odemnie odeszła. Odeszła! — powtórzył silnie i groźnie podniósł swą przypłaszczoną głowę. — Po dziesięciu latach w małżeńskiem stadle! — sze-

ptał — odeszła. A dzieci dwoje było. Ale Bóg ich na tym padole nie pozostawił.

— Hm, pewnie, że to ciężka prośba! — potwierdził ksiądz i pochylił głowę na ręce o laskę oparte. — A kiedy odeszła? A dlaczego? Może jej pan czem ubliżył?

— Proszę jegomości, czego chciała, wszystko miała. Niema mowy o jakimś niedostatku. Posługaczkę dla niej nająłem i praczkę. Różnych rzeczy jej nakupiłem! Precyozów! Zegarek z łańcuszkiem. A nawet i to, proszę jegomości, to wszystko zabrała.

Ostatnie słowa w zdaniu wymawiał Horzky zawsze szybciej. Jakby pointował całą mowę, a najważniejszą rzecz zachował na koniec; naraz urwał.

— Tak, tak!

— A odeszła przed czterema laty! — dodał Horzky.

O. Gilbert spojrzał na niego ze zdziwienia.

Był pewny, że przyszedł ukoić świeży ból.

— A jakże się to stało? Przecież może dało się ją zatrzymać?

— Nie, proszę księdza jegomości, nie dało. Sam nie wiem, co to takiego. Żyłem

z nią dziesięć lat, nie ubliżyłem. Ona się, rozumie się, odsuwała. Mnie podawała jedzenie w pokoju, sama jadła w kuchni. Dziwna była. Ale, że coś podobnego mi zrobi, tego się nie spodziewałem.

— Może pan co przeczuwał?

— Niczego nie przeczuwałem, proszę księdza jegomości. Żegnałem się z nią. Mówię: Z Bogiem Andziu! — Szedłem na patrol. Wieczór był. A ona zacisnęła usta, zamknęła oczy i odsunęła się, gdym ją chciał pocałować. Często tak robiła, ale tak, z takiem obrzydzeniem przecież jeszcze nigdy! No, zostawiłem to tak... A rano, wracam z patrolu, zziębnięty, i wchodzę na dziedziniec; parobek mówi: — Tu macie klucz, panie wachmistrzu, ale nie przestraszcie się, wasza pani odjechała! — Drgnąłem, otworzyłem mieszkanie. Proszę jegomości, jakby złodzieje się włamali! Pierzyny zabrała, precyoza, suknie, wszystko wzięła. Tylko jedno mi pozostawiła. Pierścień ślubny. A ja zrozumiałem. Ja pojąłem, ja nie jestem tak niewykształconym człowiekiem, abym nie wiedział, że to opiewa: — zrywam wszelkie okowy, zrywam małżeńskie związki z tobą! — Proszę jegomości, tylko to mi pozostawiła! — Daliśmy się fotografować—po ślubie! Proszę,

ona się z fotografii odstrzygła! A rękę tak miała na mej zawieszoną — (Horzky pokazał) — to nawet i rękę z mojej połowy wyskrobała!

Gilbert spytał:

— To już cztery lata temu, jak odeszła? I nie wróciła? Nie pisała? A czy ja potrafiłbym na nią wpłynąć.

— Ach nie, proszę jegomości, ja wiem, że to nadarmo. Ani nawet nie proszę o to. Tylko o pociechę. Tylko — wyspowiadać się, zwierzyć, ugasić ten płomień tu, na piersiach! Aby łez tyle nie płynęło.

— Ależ panie, jeśli pan jej istotnie niczem nie ubliżył, a ona mimo to pana opuściła, nie zasługuje na pańską miłość. I grzechem jest poddawanie się smutkowi, gdy jest tak daremnym.

— Cóż, kiedy, proszę jegomości, sam jestem. Chałupa pusta, ja na życie po gospodach skazany. Sam muszę sprzątać. I wciąż te cztery ściany. Wszystko przeglądam, wspominam, przypominam sobie! — Poszedł w kąt pokoju. Stał tam stoliczek z koszyczkiem. Wyjął szmatki zawiązane w chustkę, skrawki sukni kobiecych, i położywszy przed księdzem, rozwiązał.

— To od jej sukien, na to patrzę. Tu

skrawek od ślubnej sukni! — mówił, wyciągając kawałek lila jedwabiu. W jego bezdusznych oczach szkliły się łzy, jak woda na powierzchni zbyt deszczem przesiąkniętej ziemi stojąca.

Wyszedł do małej, czarnej kuchenki.

Wyniósł stamtąd jasno-niebieską suknię kobiecą składaną w faldy i ozdobioną staromodną tuniką.

— To mi także pozostawiła—mówił, roztrząsając suknię drugą ręką. — Wyszło już z mody. A ja na to patrzę, patrzę i płaczę. A ona mi moje młode życie, moją karyerę zniszczyła! Jeszcze tylko pięć miesięcy miałem dosłużyć do dwudziestu lat służby — i nie mogłem. Proszę księdza jegomości—nie mogłem. Nie mogłem pełnić swych obowiązków. Musiałem wystąpić! Pojechałem do Pragi, miałem zapalenie oczu. Profesor Shöbl mi powiedział (odstąpił przy tych słowach i uczynił okrągły ruch ręką, w której trzymał suknię) „panie, pan ma duchowy ból!“ — Tak, proszę księdza jegomości, on mi to po oczach poznał. A czy ja kroki jakie robiłem? Robiłem. Ja do niej pisałem, zaprzysięgałem, ja jej wspominałem wszystko, co jej było najdroższego, napisałem, że pensyę straci, szacunek, jaki miała

jako moja małżonka. Nic! Nie odpowiedziała. A ja trzy arkusze zapisałem!—Zaszedłem ja i do jej rodziców, prosiłem, aby ją przymusili. Zatrzymali mnie tam dzień, ale już na drugi dzień rano jej siostra wyrzuciła mi płaszcz na podwórze; i szablę, którą odpiąłem, także! Ja zrozumiałem, na tyle wykształcenia mam, że to mnie wyrzuca. A co mnie najbardziej martwiło, to że nie chcieli powiedzieć, gdzie się skryła, u stryja, czy gdzie, a kiedym mówił: „Pani teściowa, byłem tu dzień, ja nie chcę nic zadarmo, tu macie reńskiego“ — ona wzięła! Matka mojej żony! Reńskiego! A jeszcze na moją prośbę, żeby wpływali na córkę, odpowiedziała, abym wziął gospodynię. Proszę księdza jegomości! Na mojem stanowisku, z moją wiarą katolicką! Nie zlitowała się, a tak obraziła! A ja to zniósłem! Zniósłem! A ojciec? Także! Mówiłem, płakałem, ale co-m gadał, na dół, na górę, jak kamień — to kamień! — Co mi do tego? — powiada — ja ci mam zdobywać twoje dobro? No, jakto chłop, proszę jegomości, bez żadnego wykształcenia. Ale jak moja wrażliwa dusza cierpi!

— Jest w domu, u rodziców? — spytał Gilbert.

— Ale nie, proszę przewielebnego ojca.

W Ameryce! A jak dawno już o tem myślała! W kieliszkach znalazłem schowane recepisy z listów, które pisała do stryja, do Ameryki. Tak się zmówili! A ja, jak ślepy, ja jej wierzyłem, wszystkiemu wierzyłem. A jak się z nią żeniłem, to mi pieniędzy do rąk nie dali, a jej zawierzyli. Te sobie odwiozła. Nic mi nie zostawiła.

— A czy też pan do niej pisał, do Ameryki?

— Nie pisałem, nie znam adresu. Ale rodzicom dałem znać, że jeśliby chciała wrócić, poślę na drogę pieniądze. Rodzice nic. Ani słowa odpowiedzi.

Drzwi sieni skrzypnęły.

Horzky ruszył się, ale ponieważ po jego twarzy przeleciało coś w rodzaju nieprzyjemnego wrażenia, można było poznać, że wie, kto to przyszedł.

Gilbert wstał.

— Miło mi, jeśli panu to zwierzenie się przyniosło ulgę. Zresztą innej rady tu nie wiem. Ale niech pan ufa, że przyjdzie z nieba pociecha. Nadzieje, to małe ławeczki, na których odpoczywamy, zanim zbierzemy siły na dalszą drogę.

Drzwi do pokoju otwarły sie i ukazała się w nich twarz kobieca, otulona chusteczką

podłóżna jak migdał; skryła się jednak niezwłocznie.

Była to kobieta około trzydziestu pięciu lat.

— To siostra naszego majstra krawieckiego, proszę księdza jegomości — tłomaczył Horzky — tak trochę porządków mi tu dogląda. Codzień dziękuję Bogu za to, że mi zesłał tę szlachetną kobietę!

O. Gilbert pożegnał się z nim i wyszedł.

Horzky w pokapanej bluzie, z niestartemi łzami na policzkach i w wodnistych oczach, patrzył za nim.

— Zrozumieć trzeba, wszystko zrozumieć! — powtarzał sobie szeptem Gilbert, krocząc po gęstym piasku gościńca.

Przed leśniczówką, koło której musiał przejść, stał na trawniku u studni, ocienionej daszkiem z gontów, młody człowiek, wyglądający na studenta, z panią po domowemu ubraną w suknię, może kiedyś brunatną, ale jak dziś już wypraną, że wyglądała, jakby ją kto oblał białą kawą.

Oboje rozmawiali z sobą nienaturalnie, jak statyści na scenie.

Czekali na księdza.

— Rączki całuję, wielebny ojcze! — o-

dezwała się pani, wkładając w te słowa więcej uprzejmości, niż one mogły jej unieść.

— Ksiądz jegomość powraca zapewne z przechadzki? — pytała jeszcze uprzejmiej, idąc naprzeciw niego. Ręce z przyzwyczajenia niosła wygięte w przegubach i prawie naprzód wyciągnięte.

Gilbert obejrzał się.

Po tem, że mały jamnik rzucił się do połamanej furtki i gwałtownie zaszczekał i po zieloną wełną wyszywanej koszuli młodego człowieka domyślił się, że stoi przed leśniczówką.

— Nie byłem na przechadzce. Byłem u pana Horzkiego.

— Ach tak! chłodniej i z jakąś pogardą rzekła pani, choć widziała księdza, jak stamtąd wychodził, i obtarłszy dwoma palcami usta zapatrzyła się przed siebie, odwróciwszy oczy od niego.

— Zapewne naprzykrzał się już księdzu jegomości. Żona mu uciekła, wszystko wzięła, precyoza, zegarek, szesnaście stówek, pierzyny. On się z nią dobrze obchodził, ani nawet słówkiem jej nie ubliżył, posługaczkę jej najął, praczkę, wszystko miała... Nieborak!.. — mówiła pani tak szybko i uszczypliwie, że aż w oczach ciemniało

i że aż ostatnie słowo nie słowem już było, ale jadem.

— A czyż to nie prawda?

— Nie wiemy, nie wiemy, proszę jegomości. Kto tam widzi, co drugi w garnku waży. Ale, że się to już księdzu jegomości naprzykrzał.

Młody człowiek w żółtych trzewikach, z zapadłą klatką piersiową i takiemiż policzkami, z twarzą zoraną złem życiem, zaśmiał się kracząco.

— A nie pokazywał księdzu jegomości ile ma ubrań? — spytał zjadliwie i tem jedynem zdaniem, sposobem, jakim je wypowiedział, udowodnił, że jest synem pani w oblanej sukni.

Gilbertowi zrobiło się nieswojo.

Popatrzył na stojącą wśród ogrodów leśniczówkę z przybudówką.

Jedyna wielka lipa rozłożyła swe konary na dachu wozowni.

W wawrzynowym ogródku modrawie rozkwitał ognistymi kwiatami krzaczek piwonii, a na zagonach, między niewyplenioną trawą, czerwienił się liść rzepy.

— Gospodarstwo! — rzekł Gilbert z uśmiechem. — Kiedy zaczniecie kosić na łąkach?

— Ach, darmo o tem mówić! — rozgniewała się pani. — Mąż nie potrafi rozkazać. Żeńcy sieką naprzód dla gajowych, dopiero po nich przyjdzie kolej na leśniczego.

— No, ja idę! — odpowiedział Gilbert, czując, że wywołuje rozdrażnienie.

— Ja też idę na dół do wsi! — odezwał się młody człowiek. — Jeśli ksiądz jegomość pozwoli, odprowadzę go.

Ksiądz odpowiedział potwierdzającem skinieniem głowy.

Pani ukłoniła się. Głos jej znów aż się łamał od uprzejmości. Od leśniczówki prowadziła droga do wsi mięką trawą.

Młode dziewczę w modrej sukni, z poziemkowo-czerwoną szlarką z połyskującymi policzkami, minęło ich, uśmiechając się. Śmiejąc się — zamykała oczy.

Niosła na ramionach koromysło z przywieszonemi konewkami i, usiłując utrzymać je równo na ramionach, starała się wyminąć towarzystwo stojące na ścieżce.

— To Pintówna! — rzekł z kpiącą intonacyą młody człowiek, a ponieważ ksiądz o nic nie pytał, dodał: — Jej matka posługuje u Horzkiego.

Gilbert czuł, że młody człowiek chętnie powiedziałby coś złego.

Świadczył o tem drwiący uśmiech, którym podlewał intonacyę słów. Dlatego Gilbert zaczął mówić o przyrodzie, o tem, jak się w nim zbudziły wspomnienia dzieciństwa.

— Przyroda? — powtórzył młody człowiek. — To dobre na krótko. Co się tyczy mnie, to ja się tu nudzę. Ile razy przypomnę sobie Przykopy wieczorem, dziewczęta— uciekłbym stąd natychmiast. Zawsze do trzech kwadransów na siódmą na Przykopach, a potem — do teatru. To moje życie. To mnie ciągnie...

— Pan studyuje w Pradze?

Młody człowiek zmieszał się.

— Tak! — rzekł, zająknąwszy się.

— A co takiego?

Nie odrazu odpowiedział.

— No, proszę zgadnąć! — zawołał czerwony ze zmieszania.

— Prawa?

— Nie.

— Filozofię?

— Nie?

— Więc medycynę?

Młody człowiek wzruszył ramionami, wciągnął w płuca powietrze i nie odpowiedział.

— Znowu o coś zawadziłem — pomyślał Gilbert.

Udeptaną jak boisko ścieżką, na ukos łan pola przecinającą i wiodącą ku klasztorowi, szedł naprzeciw nich wysoki, przyzwoicie ubrany mężczyzna.

Uśmiechając się, ukazał rząd silnych, białych zębów, jakby groźnych, drapieżnych. Był podobny do do rzymskiego żołdaka z pod krzyża. Jego zupełnie czarne, przenikliwe oczy błysnęły pełną szacunku radością.

— To nauczyciel Szalansky — tłomaczył usłużnie młody człowiek. Głos jego syczał nienawiścią i drwinami.

Nie mógł się przezwyciężyć.

— Denuncyant i podlec! — rzekł. — Nie mówię z nim!

Pod klasztorem rozeszli się.

Przeor ich widział.

— A kogoście to sobie złowili! śmiał się do niego w południe, witając go tym śmiechem. — Szliście z tym darmozjadem od leśniczych? Toście się nasłuchali plotek! Wszystko wiedzą! A ona—to już naprawdę dobry ptaszek. Chodziła do kuchni do gospodyni na wywiady, ale ją wyrzuciłem. — Tak, paniusiu! — powiedziałem — tam jest furtka: dziś się za paniusią zamknie, a więcej razy już się nie otworzy. A nowego nic nie wiem. Wszystko po staremu! — to jej

powiedziałem i wyrzuciłem, poprostu wyrzuciłem. No i nie lepiej? Zawsze donosiła, co ludzie o nas we wsi mówią; gospodyni wciąż płakała. Zrobiłem temu koniec jednym zamachem.

Powyższe słowa mówił przeor po niemiecku, ostrożną, bosą niemczyzną, bezustannie uważającą, aby się nie natknęła gdzie na jaki błąd. Miał już takie upodobanie.

— A stary leśniczy to dobry człowiek! Ale matka i syn, to zakała gminy! Leśniczy przyjdzie dziś na obiad — dorzucił i przeszedł się po refektarzu, końcami trzewików podrzucając długą klerykę.

Wszedł stary leśniczy, opuszczony w kolanach, niewielki, jakby uschnięty, z rozjarzoną twarzą i świecącemi oczami, z siwą, rzadką, długą brodą i z otwartemi ustami, pełnemi żółtych, zepsutych zębów.

Pozdrowił piskliwym głosikiem, chwiejnym i niepewnym, jakby skutkiem kolek, na różnych stronach kłujących, go w nierównem tempie musiał powstrzymywać oddech.

Ukłonił się obu księżom i zatoczył się.

— Darujcie, panowie! — zaczął bełkocąc i osunął się bezwładnie, siadając na stołku. Przychodzę od robotniczego ludu. Mam go tam dość na grobli, na robocie. A dziś

przyszli także socyaliści, górnicy. Zastrejkowali, zarząd ich napowrót nie przyjął, przyszli teraz groblę kopać. Niby — pokornie proszą. Ale „Narodni Listy“ i „Zarz“ wyglądała im z kieszeni. „Pokornie rączki całuję — mówił ten ich niby główny — prosilibyśmy o pracę! — naśladował leśniczy uniżonym tonem czyjś głos.

— Ja ci dam „całuję rączki“! A jeszcze wczoraj, póki cię pan nie wygnał, przechodziłeś tędy i ani do kapelusza nie sięgnąłeś! — przytoczył swą odpowiedź. — Wyciągnąłem mu gazety z kieszeni. — Ko to drukuje — powiadam — ten jest panem, niechże się stara o lud!

Leśniczy zmęczył się i zamilknął.

Głowa opadła mu na piersi.

Przeora to rozbawiło, Gilbertowi zrobiło się nieprzyjemnie.

Leśny ocknął się i mówił dalej.

— Wielebni Ojcowie, mówiłem: druk! — oto, coby się miało zabronić. Rzuciłem okiem na te gazety i powiedziałem: Zakazać! — Żeby jeszcze drukowali tak, aby to lud mógł zrozumieć. Ale to nadrukują uczenie i jak to może pojąć taki górnik. Spłoszy się i ucieka z roboty. A właściciel kopalni sam ledwie żyje!

Leśniczy znowu zachrapał. Jego stara, pijana głowa przewalała się z ramienia na ramię.

— Panie leśniczy! Pan sobie dogodził! Cóżeście to pili? No, godził sobie, dogodził! — mówił przeor do starca, którego tu zaproszono jak trefnisia, powtarzającego sto razy jedne i te same słowa z przyzwyczajenia; wstał i położył rękę na łysej głowie leśniczego.

— A co tam wasza stara? Dokucza? — spytał. Ale leśniczy już spał.

Zbudzono go do obiadu.

Przeor powtórzył swoje pytanie.

— Stara... smok... synalek... lump! —mówił z wahaniem starzec. — Czekają tylko, kiedy zdechnę. Najchętniejby mnie otruli!

— A wiecie, że leśniczy ze Studenki wydaje za mąż swoją córkę, zaręczyny mieli niedawno, dwadzieścia tysięcy jej daje... idzie za młynarza.

— Cóżem ja w porównaniu z nimi? Żebrak, obdarty żebrak.

— Leśniczy ze Studenki? Czy to ten, do którego należy ta chałupa na łąkach? — zapytał Gilbert.

— Tak, ten. Dziewczynę ma, siarczyste stworzonko, że za tego przygłupa zamąż

idzie — rzekł przeor i zwróciwszy się ku leśniczemu, znowu spytał.

— A cóżeście to pili? Powiedźcie, panie leśniczy, coście pili?

— Rum do piwa i parę żytniówek! — odpowiedział leśniczy.

Przeor śmiał się widocznie tem zabawiony. Starzec bełkotał przez cały czas obiadu. Przeor powiedział Gilbertowi, że leśniczy jest codzień tak pijany, a starzec potwierdził.

— A cóż! Syn dziesięć lat już uczy się na doktora, egzaminu niema, kręci się koło jakiejś lalki, ona sobie nakupiła koronek, a nam żyd krowę zabrał, nie mam może pić z tej radości?

Po obiedzie przyszedł ów nauczyciel o wyglądzie Rzymianina.

Zęby świeciły mu w ustawicznym uśmiechu. Miodowe słowa płynęły z jego ust.

Dla zaznaczenia różnicy między przeorem a młodym księdzem, tytułował tego ostatniego: „Wielebny panie".

— Dziwno mi było — rzekł, że wielebny pan tak prędko zdążył zaznajomić się z Horzkym i z synem pana leśniczego. Oczernili mnie oczywiście, to się rozumie.

Gilbert zaczerwienił się.

— Nie opowiadał wielebnemu panu, jakto ja dawniej agitowałem za młodoczechami? Nie obmawiał mnie?

— Nie!—odpowiedział Gilbert.

— Nie jestem już młodoczechem, wielebny panie, już nie, już ze mnie całkiem inny człowiek. Człowiek przyszedł do rozumu. Dużo zawdzięczam księdzu jegomości.

Przeor zakołysał się na krześle.

— Wybiłem mu z głowy te błazeństwa!— śmiał się głośno, a koło jego ruchliwych ust tworzyły się zmarszczki w kształt nawiasów.

Pan leśniczy rozpłakał się naraz.

Obaj panowie roześmiali się, wiedząc, że płacze ze strachu przed żoną.

Gilbert wyszedł do swego pokoiku. Przez otwarte okno słychać było turkot wozów, jadących daleko gościńcem.

Gilberta powitała chytra twarz kardynała i jego przenikliwe oczy.

Jego kobiece, wątłe ręce trzymały księgę, której nie czytał, jego bystre oczy chciwie wszystko śledziły. Brabanckie koronki jego rokiety leżały żywe i jakby z świadomym udziałem na sutannie. A zaciśnięte, chytre usta, zda się, właśnie przed chwilą wypowiedziały słowa:

— Ależ proszę, nigdy niczego innego nie twierdziłem!

IV.

Jedno skrzydło klasztoru, a mianowicie parter z oknami wychodzącemi na cmentarz, porosły gęstą, bujną trawą, wynajęto jednemu z nauczycieli miejscowej szkoły.

Wprawdzie mówiono o nim, że nie domaga na zdrowiu, ale nikt nie brał na seryo jego choroby.

Jednego razu wyszedł Gilbert do ogrodu.

Było to późnym rankiem.

Wiatr szumiał w wierzchołkach drzew i gnał bielutkie, lekko zwisające obłoczki, po nieprzejrzanym stropie niebieskim.

Trawy dyszały jakąś pieśnią bez słów, jeszcze nie zupełnie wyswobodzoną z cmentarnego smutku.

Na owym wspomnianym już jedynym grobie płonęły ocalałe piwonie. Pewnie nie wiedziały nawet, nad czyim to tak kwitną grobem.

Na małym klombie przed wchodem bawił się chłopczyk z dziewczynką, oboje w pstrych ubrankach; migali po zielonej płaszczyźnie,

usianej przekwitłymi mleczami. Głosy ich brzmiały radośnie wśród poranka, zagłuszając urywane, perliste dźwięki ptasiej pieśni.

W progu zjawiła się młoda dziewczyna w białej bluzce i w czarnym fartuchu. Miała czarną główkę i bujne włosy, wiankiem okalające głowę. Ujrzawszy Gilberta odezwała się z ukłonem:

— Zapewne nowy ksiądz wikary. Widziałam Wielebnego Ojca jadącego wózkiem w wilię urodzin mamusi.

— Gdzie mnie pani widziała? — zapytał Gilbert.

— Rozwieszałam lampionki na naszej chałupce, wśród łąk. Powiedziano mi później, że to był ksiądz jegomość. Piewsza z całej gminy księdza zobaczyłam.

Roześmiała się, zawołała: — Malinki, malinki, dzieci moje!

Zostawiła Gilberta i zaczęła tańczyć z dziećmi.

Gilbert szedł za nią.

— Podobały mi się pani lampionki, ucieszyłem się nimi jak dziecko.

Zwróciła ku niemu swą śniadą główkę i powiedziała:

— Proszę przyjść do nas, do chałupki, proszę księdza jegomości. Rozświecę zno-

wu kolorowe światełka. Mamusię to rozbawi. U nas wesoło. Nikt nie narzeka tak, jak tu.

Przy tych słowach roześmiała się znacząco i ukazała brodą ogródek.

Z ogrodu odezwał się nagle ostry, rozdrażniony krzyk mężczyzny.

Niezbyt stary mężczyzna szedł ścieżką i krzyczał na dzieci.

Gilbert domyślił się, że to chory nauczyciel i jego dzieci.

Podszedł ku niemu.

— Ksiądz Gilbert — rzekł uchylając kapelusza.

Młoda dziewczyna zawołała:—Z Bogiem, wszyscy z Bogiem! Wielebny Ojcze, proszę do nas zajrzeć!—i zniknęła.

— Proszę mi darować, — zaczął nauczyciel obojętnie a wygodnie, jakby sobie folgował, — ja jestem chory człowiek. Ze mną niema o czem mówić.

— Wiem o tem i dlatego do pana przychodzę — odpowiedział Gilbert. Mówią, że pan cierpi na melancholię. Może mógłbym czem pomódz?

— Lekarze nie mogą mi pomódz, a cóż dopiero ksiądz! — odpowiedział z rozdrażnieniem nauczyciel, a jego mięsista, sinawa

twarz zmarszczyła się, a obrzękłe powieki na pół zakryły metalicznie połyskujące oczy. — Pisałem do Pragi, do doktora, aby mi odpowiedział stanowczo, czy moja choroba jest wyleczalna, czy nie; — (zaczął szukać listu w kieszeni) — on mi odpisał, że owszem, wyleczyć się da. Cóż z tego, kiedy jego rady nic mi nie pomagają.

— A czego panu właściwie brakuje?

— Twarz nauczyciela ożywiła się.

— Chodźmy do altanki, zmęczyłem się. Tam księdzu to wszystko opowiem.

Usiedli.

Nauczyciel opowiadał o swych cierpieniach. Było tego tyle, że wreszcie nie pozostało nic, coby go nie bolało. A wszystko zaczynał słowy:—Zaś najważniejszem jest...— Głównem w rzeczy samej było to, że całymi dniami myślał tylko o sobie, że się wszystkiem irytował, że ze wszystkiego najchętniej słuchał rozkazu, aby nie pracował, i że właśnie sumienne stosowanie się do tego polecenia budziło w nim tyle czarnych myśli.

— Zaś najważniejszem z tego wszystkiego jest — mówił — że się burzy boję. Jak tylko takie ot chmurki zjawią się na niebie, strach mnie ogarnia. A to już, niech się

dzieje co chce, nic się nie wstydzę, ale zaraz marsz do łóżka! Tu znowu najważniejszem z tego wszystkiego jest, że mi kazano chodzić. Ale ledwie pięć minut pochodzę, muszę się wrócić, taki jestem zmęczony!

— Może pan chodzi zanadto pomału?

— A pomału chodzę. Co noga nogę minie. Zaś najważniejszem z tego wszystkiego jest, że powinienbym mieć inne wrażenia, nie myśleć o tem; ale o czemże ja na miłość boską mogę myśleć?!

— Czyta pan co?

— Czytam, ale tylko medyczne książki. Jak tylko znajdę w gazecie ogłoszenie o czemś nowem, zaraz to sobie sprawiam. Mogęż to czytać co innego? W gazetach pisze się tylko o neurastenikach. Co chwila ktoś się z neurastenii zabija. A w książkach także się wszyscy wciąż denerwują.

— Są i inne, wesołe książki!

— A naco mi one? Ja ich nie potrzebuję. To już wolę się dowiedzieć, na co choruję. Nikt nie może mi nazwać tej choroby. Zaś najważniejszem z tego wszystkiego jest, że się tak bardzo lękam. Ksiądz przeor dobrze wie o tem. Jeszcze mnie zawsze przestraszy!

W oknie mieszkania nauczyciela, między łukami koronkowych, wiatrem wzdymanych firanek, ukazała się kobieca głowa i zniknęła. W chwilę później, na kamiennym progu cegłami wykładanej sieni, zjawiła się młoda kobieta, żona nauczyciela, i pochylając nizko stroskaną głowę, minęła uciszone dzieci, siedzące na brzegu zagonów, zajęte wiciem wianków ze stokrotek, i skierowała się ku altance.

Chód jej był spokojny a postać zbiedzona niczem nie zwracała uwagi.

Gdy podniosła bladą, zafrasowaną twarz, zapłonęły krwią jej wilgotne wargi, jak gorączką po płaczu, a jej małe, pokornie patrzące oczy były zalane łzami.

— Nieszczęśliwa! — czuł Gilbert.

Ale po pierwszem odezwaniu się jej poznał, że nieszczęście jej jest innego rodzaju, niż myślał. Wyobrażał sobie ją, jako kobietę unieszczęśliwioną chorobą męża, rozpaczającą nad nim, nad jego cierpieniem, a poznał w niej matkę i żonę bolejącą nad sobą i swemi dziećmi, nad tem, że wszyscy cierpieli chorobę, w którą nie wierzyła, nad tem, że niezasłużenie doznawali boleści, które, według jej prostych zapatrywań wiejskiej ko-

biety, każdy powinien znosić sam, a nie zatruwać nimi życia drugim.

Wyszla za mąż za nauczyciela, za „pana", by nie musiała pełnić ciężkiej pracy wiejskiej, by się wyswobodziła z jarzma, którym widziała obarczoną matkę; wyszla za niego licząc na wygody i poprawę losu, a tu naraz musiała znosić nieustanny przestrach męża, którego choroba, nie objawiająca się otwartemi ranami, była dla niej zagadką.

— Co to za choroba, proszę księdza jegomości?—pytała, zaznajomiwszy się z nim.— Na wsi nic podobnego-śmy nie widzieli. A droga choroba. Przeczyta w gazecie, że tem a tem ma sobie maścić głowę, jeśli chce zaraz usnąć. Flaszeczka kosztuje cztery reńskie, a w mgnieniu oka ją wymaże. I tak to wciąż idzie. My w domu jemy ziemniaki w mundurkach, a jego pensya cała idzie na maści. Żeby to choć co pomogło—ale nie pomaga.

Nauczyciel rozgniewał się.

— Czytałem w książce, że wszyscy mają się starać o spokój dla chorego. A tymczasem nie słyszę nic, prócz narzekania!

— I spokójby był, jakby były pieniądze, ale pieniędzy niema!—odpowiedziała uparcie żona, chcąc do końca doprowadzić swój

spór.—A tu znowu pisze ciągle do doktora— a za jego list, a jest tam w nim tego malutko i wciąż to samo, musi dać dwa reńskie. A stoi tam, żeby dużo chodził, żeby nie myślał o chorobie i żeby się kąpał w zimnej wodzie. Ale on tego nie zrobi!

Gilbert czuł, że tu mógł być istotnie pożytecznym.

Namówił nauczyciela, aby z nim szedł na przechadzkę.

Nauczyciel długo się opierał. Wymawiał się, twierdząc, że jest osłabiony przez bezsenność, że nie może chodzić.

— Nie śpi pan dlatego, że pan nie chodzi, to właśnie koło, które trzeba przerwać!— odpowiedział stanowczo Gilbert.

Wreszcie nauczyciel wyszedł z nim razem, ale tylko dlatego, że się cieszył myślą, jak sobie porozmawia o swej chorobie, którą wszyscy już we wsi znali i z której się wyśmiewali.

Ale ksiądz starał się odpędzić od niego te myśli. Głos mu wciąż drżał, a i myśli jakoś nieśmiało się wahały. Starał się wyszukać coś nowszego i silniejszego. Jąkając się mówił o Bogu pokornym głosem, zdradzającym niepewnego adepta.

Nauczyciel słuchał go, o ile nie oddalał

się zanadto od tego, co najwięcej na świecie kochał, to jest, od jego choroby.

— Najważniejszem zaś z tego wszystkiego jest, — przerywał mu często, opuszczał powieki na swe metalicznie połyskujące oczy i przypominał, że najważniejszem z tego wszystkiego jest, iż on nie może zasnąć na lewym boku, ale musi leżeć na prawym.

Na leśnym gościńcu spotkali Jana Horzkiego w nowym ubraniu i mankietach, sięgających palców.

— Tak, proszę księdza jegomości, tu chodzę samotny. Cóż ja mam robić, człowiek nieszczęśliwy! — rzekł płaczliwie, a księdzu dopiero teraz przyszło na myśl, że rzeczywiście Horzky próżniaczy się przez cały dzień i z nudów już nie wie co ma począć.

— Pan Horzky ma znowu nowe ubranie!—zauważył nauczyciel.

— Nie całkiem, nie całkiem nowe! Zeszłoroczne, ale ja lubię: dostatek ubrań! Ani nawet, proszę jegomości, ubrań nie pokazałem. Trzysta reńskich kosztowała mnie moja garderoba w ostatnim roku, trzysta reńskich!—powtarzając się, mówił Horzky—i długo nie oddalał się od tego tematu.

Ale nauczyciel zaczął naraz mówić o tem,

co jest najważniejsze w jego chorobie, i tak się rozmowa poplątała.

— Proszę, — przerwał mu nagle Horzky — a cóżbym dopiero ja musiał powiedzieć! Pan nauczyciel ma rodzinę, żonę, podczas gdy ja jestem sam. Ja nie mogę podledz tak memu cierpieniu. Pocieszam się tem, że i inni są także nieszczęśliwi. Ot znowu w Pradze uciekła komuś żona z kochankiem, a ja dowiedziałem się, jak się jej zato powodzi. On ją bije, ten pan! Ba, myślę sobie, i moją niegodną żonę też tam ktoś ukarci. Niewierna!

— Mówiłeś pan przed chwilą, że mam żonę i rodzinę. A właśnie to najwięcej mi zawadza!—wpadł nauczyciel, jak tylko Horzky powiedział ostatnie słowo.

Szczytem rozmowy było to, że zanim doszli do klasztoru, każdy chciał być nieszczęśliwszym od drugiego i wzbudzać większe współczucie.

Nauczyciel pożegnał ich u prawego skrzydła klasztoru.

Horzky odprowadzał księdza.

— Hipochondryk! — mówił o nauczycielu. — Właściwie to nie jest choroba. Doktór Tejnil mówi, że to tylko lenistwo, któremu się poddaje. Niczego mu nie brakuje. Ale

gdyby tak był na mojem miejscu! Gdyby się doczekał takich zawodów! A wszystko za moją dobroć i miłość, proszę księdza jegomości, za to, że mam taki szlachetny charakter. Na to ja już nie poradzę, ale ja już zawsze byłem taki szlachetny.

— Jakżem rad, jak rad! — żegnał się z księdzem. A był rad dlatego, że go ktoś wysłuchał. I jego strapienia znali już wszyscy we wsi. I jemu były one drogie i z trudnością byłby się ich wyzbył, gdyby kto go chciał wyzwolić od nich, jak nauczyciela od choroby.

Na drugi dzień rano, gdy Gilbert wrócił do domu po mszy, czekała na niego w klasztornym korytarzu żona nauczyciela i dziękowała mu za to, że zajął się jej mężem; doniosła mu, że mąż jej istotnie czuje się lepiej i że spał całą noc.

Gilbert ucieszył się i wyszedł do ogrodu odszukać go. Nauczyciel chwalił sobie dobry sen, ale natychmiast wrócił do wczorajszej rozmowy mówiąc, że Horzkiemu dobrze się powodzi, bo jest zdrów, ale że to tylko taki niewykształcony człowiek, który go pytał, czy, gdyby chciał jechać za żoną do Ameryki, musiał także jechać przez Azyę i Afrykę, dlatego, że się w takim porządku

części świata uczył, dodając, że Horzky czyta ciągle kryminalne powieści i że żonie dawał do czytania niemoralne francuskie romanse, tłomaczone w dziennikach i że żona jego tylko z tego się nauczyła, jak ma uciec od męża.

— Co tu gadać, co to, to prawda!—wtrąciła jego żona.—Zasłużona kara. Stare dziadzisko, a ożenił się z osiemnastoletnią dziewczyną. Przez długie lata miał stosunek z drugą. Przyszła tu za nim. Przyprowadziła mu ładnego dziesięcioletniego chłopczyka. Zlitował się może nad własnem dzieckiem? Sprawiedliwie go Pan Bóg pokarał. A ta druga także tu z nim raju żadnego nie miała. Wiedziała dobrze, dlaczego uciekała, a i on też dobrze wie!

A naraz zamyśliła się:

— Ale nie każdego Pan Bóg za grzechy karze, niektórych tylko tak doświadcza. Na przykład mnie. Cóżem ja zawiniła?

V.

Rano po mszy, pięknego dnia, wyszedł Gilbert w pole.

Po drodze przyszło mu na myśl, żeby

wstąpić do małej chałupki wśród łąk, dokąd go zapraszała młoda dziewczynka, narzeczona młynarza.

Przed chałupką stały na stoliku dwa pstro malowane dzbanuszki z bukietami kwiatów, a młody głos śmiał się w chałupce, mieniąc śmiech w pieśń.

Z pieśnią na ustach zjawiła się na progu śniada dziewczyna. Miała na sobie białą bluzkę i czarny fartuszek, a główkę czarną jak węgiel.

— Ksiądz do nas? Mamusia jest w mieście, a ja na wychodnem, ale to nie szkodzi, wezmę księdza ze sobą, jeśli ksiądz chce.

— A dokąd pani idzie? — spytał Gilbert.

— Na leśniczówkę, mam tam coś do załatwienia.

— Z przyjemnością panią odprowadzę — odpowiedział.

Dziewczynka zamknęła dom i wyszli.

— Jak pani na imię?—pytał Gilbert.

— Jadwiga. A księdzu?

— Gilbert, ojciec Gilbert.

Szli wioską, jak nieznaną ziemią. Wszystko było jakieś nowe i godne podziwu. Wszystko gotowało się do zachwycenia.

Słońce ciepłe, złote a głównie nowe, słało swe blaski, chłonąc w siebie wszystkie

wonie ziemi, woń młodej trawy, fiołków i kaczeńca, woń młodych pędów świerkowych, podrostów i olch, topól i wierzb. Przestrzenie wypełniał cichy, wiosennie roztęskniony, głęboki azur.

Szli obok siebie topolową aleją, pod młodemi gałązkami, ledwo tu i tam listeczkami nakrapianemi.

Oboje czuli swój związek z tym wiosennym dniem.

Szli, jakby nie czując wzajemnie swej obecności.

Z bażantarni szła woń wilgotnych cieniów sosen i jodeł i starych liści bukowych, wiatrem tam zaniesionych.

Weszli. I naraz rozpostarło się przed nimi całe piękno wiosny, jakby kluczem czarodziejskim otworzonej.

Młode, jakby rozplecione i rozczesane kosmyki bielutkich brzóz, obsypane drobniótkimi, rozradowanymi liśćmi, szumiały z cicha, jakby się słodko porozumiewały. Bez, którego tu były całe aleje, nalewał brunatne grona kwiatów, bezwonne blade fiołki leśne otaczały młode drzewka i liliowemi plamami skrapiały szmaragdową trawę, wonną, nie zakurzoną jeszcze, nietkniętą. Wysokie stare sosny potrząsały swemi modremi, leciwe-

mi koronami ku niebu, a rzadkie kiście jeszcze niezupełnie rozwiniętych pięciopalcych liści jaworowych plątały się z młodą wierzbiną długimi wonnymi kotkami.

— Jak pięknie! — rzekło któreś z nich czasami. Oboje czuli, że niema lepszego słowa na określenie tej świeżości porannej, tej młodości ziemi, tych dalekich błękitów, perłowo-szarego połysku stawu i rozwiniętych białych bukietów czereśni.

Ptaki śpiewały nad ich głowami, kosy podskakiwały w trawie, a cały gaj wypełniała wesoła, jasna gędźba delikatnych ptasich gardziołków.

Wyświadczali sobie wzajemnie drobne grzeczności, uchylali jeden drugiemu gałęzi, ale, jak gdyby nie mieli żadnej przeszłości, nie wnosili tu niczego ze świata, w którym żyli.

— Czy był już kiedy na świecie taki piękny dzień? — pytał Gilbert głośno a prawie niedosłyszalnym szeptem dodał: — a może weszliśmy do ogrodu Edenu, do ogrodu Żywota?

Jadwiga odpowiedziała:

— Nie przypominam sobie tak pięknego dnia.

Rozradowała ich serca nieskazitelna, won-

na, pełna przepychu chwała wiosny, tak nowa, jakby pierwszy raz ją przeżywali, tak nowa, jak gdyby przyszli tu z jakiejś innej gwiazdy, z gwiazdy wiecznego śniegu.

Było im tak, jakby księgę swego życia założyli złotą wstęgą i przestali na chwilę czytać.

Ale naraz zachciało się Gilbertowi spytać, z kim właściwie ma do czynienia.

Rzekł jej: — Słyszałem, że pani jest zaręczona. Czy wnet już będzie wesele?

— Wesele? — odpowiedziała dziewczyna. — Jakie wesele? A tak, wydają mnie za mąż. Ale ja o tem nie myślę. Nie chcę o tem myśleć.

Ogarnęło ich szare utrapienie i gorycz rozczarownia.

Na chwilę zniknęła woń i ciepło wiosny. Trwało to kilka sekund, ale słońce wnet przywołało ją do życia i haftowało dalej swem płomiennem pięknem.

Wyszli na drugiej stronie z bażantarni. Jakiś woźnica siedział na koźle powozu i spał. I jego upoiło powietrze.

Przez pola szła ścieżką para kochanków. Trzymali się za ręce, a twarze ich były prawie umęczone wielką namiętnością, której jeszcze nie przeżyli.

Gilbert z Jadwigą dotarli wreszcie wiodącą przez wąwóz ścieżką polną do leśniczówki, stojącej nad dnem kotliny, lasem zarosłej.

Słońce suszyło narżnięte drzewo sosnowe, złożone pod płotem.

Trzy jakby zardziewiałe psy z białemi plamami zdejmował strach na widok każdego wędrowca, który do tej samotni zabłądzi.

Jabłoniowy sad przytykał do dworku. Wielkie różowe kwiaty pokrywały stare, guzowate gałęzie i sypały płatki na młody trawnik pełen stokrotek.

— Jeślibym miała narodzić się jeszcze raz, chciałabym urodzić się gałązką jabłoni.

— Pani i tak jest jak gałązka jabłoni.

Wielka odnoga lasu objęła, niby jakieś ramię, pole przed leśniczówką.

A wielka cisza przenikała cały kraj, zalany blaskiem i ciepłem słonecznem, wywabiającem wszystkie wonie ziemi.

Gilbert nie poznawał ani siebie ani świata.

Jakiemś nieznanem, nigdy jeszcze nie zaznanem zachwyceniem radosnem przepełnione było jego nieśmiałe serce.

Jak stary cmentarz leżała za nim wieś, ludzie, nauczyciel, Horzky, a głównie ksiądz, który mu zamienił kiedyś księgi żywota.

Jadwiga wprowadziła go do izby pachnącej schnącem drzewem i odeszła do swej pracy.

— Zaczeka ksiądz na mnie?—pytała go.

Obiecał.

Został sam.

Stary zegar z dzwonkową muzyczką wydzwonił wysokimi dźwiękami smutną piosenkę na szklannych tabliczkach, a jego przedłużone, wesołe wahadło latało po cyferblacie, jak wypoczęte i rozbawione.

Jeszcze większa radość ogarnęła Gilberta.

Nigdy nie słyszał tak pięknej pieśni, jak ta, którą wygrywał ten stary zegar. Tak śpiewają tylko małe aniołki w niebie w przedsionku bożej komnaty.

Począł głaskać dłonią stary dębowy stół, a naraz uczuł, że jego serce, które nigdy nie doświadczyło żadnych rozkoszy, jest pełne piękna, i że to nie włożona w książkę złota wstęga, ale że to przyszły całe stronnice i całe rozdziały nowego życia i nowych marzeń.

Gorzkie, pełne uczucia szczęścia łzy rzuciły mu się do oczu.

Jadwiga weszła do izby cicho i szybko jak uśmiech.

Odważył się powiedzieć jej:

— Dziękuję pani, dziękuję!

— Za co? — spytała jego słów i jego łez i pogładziła go po włosach delikatnie, jak po włosach dziecka.

Pocałował ją w silną, przywykłą do pracy rękę i powtórzył:

— Dziękuję pani.

Gdy wracali do chałupki, nie czuli się już tak swobodnymi, jak przedtem.

Jadwiga mówiła o gospodarstwie, o kwiatach, o swej ukochanej chałupce wśród łąk i jak lubi ją zdobić, jakby przez cały rok były jej imieniny.

Mówiła naumyślnie, jakby obawiając się milczenia.

— Proszę mi wybaczyć—rzekł Gilbert.— Poznałem dziś pierwszy raz w życiu, jak może wyglądać szczęście. Nigdy jeszcze nie rozkoszowałem się z taką świadomością wiosennym dniem. I tylko za to pani dziękowałem!

Przy chałupce wśród łąk stał młody młynarz, chłopak z małym noskiem i kędzierzawymi włosami. Przyniósł bukiet polnych kwiatów, nie bukiet, ale cały snop.

— Masz, ty lubisz kwiatki! — rzekł, kładąc je na stole w altance.

Zachmurzył się na widok Gilberta.

Jadwiga poznajomiła ich.

Był to młynarz z Kwietowa, a jak to było można poznać, jej narzeczony.

Ale to jakoś przemilczała.

Kwiatów nie dotknęła się nawet.

Gilbert zaczął się żegnać.

Jadwiga zapraszała go ku wielkiemu niezadowoleniu młynarza.

Oddaliwszy się na jakieś sto kroków, usłyszał, jak Jadwigę strofował szorstkim, rozgniewanym głosem.

VI.

Był wieczór. Gilbert siedział w swoim pokoju sam na sam z kardynałem. Coś go niepokoiło. Namyślał się długo nad tem, czy wyjść.

Kardynał śmiał się na obrazie zimno, zjadliwie.

Zdawało się, jakby mówił:

— A idź sobie, nie zatrzymuję cię.

A uśmiechał się, jak czarnoksiężnik.

Gilbert zdecydował się wreszcie i wyszedł.

Szedł tą samą drogą co rano, ku chałupce wśród łąk.

Szedł cicho i pełen lęku ścieżką wśród kwiecia.

Doszedł aż do chałupki, ale nie ośmielił się spojrzeć w ciemne okna.

Przystąpił do stołu w altance.

Zalewało ją blade światło księżyca.

Na stole leżała wiązanka zwiędłych kwiatów polnych.

Zmieszany wziął ją w ręce i znowu położył.

Niczego innego nie było mu trzeba.

Był tylko ciekawy, czy znajdzie tu wiązankę. Wyszedł, ale znowu inaczej to sobie rozmyślił; wrócił i wziął ze sobą wiązankę.

Przyszedł do domu o dziesiątej godzinie.

Coś zachrzęściło w obrazie kardynała, a dawno martwe było przecie drzewo, z którego ramę zrobiono.

Gilbert spojrzał uważnie na obraz.

Kardynał zachichotał.

Gilbert, ten spokojny, cichy Gilbert rzucił mu w twarz wiązankę zwiędłych polnych kwiatów.

Kardynał umilknął.

Kiedy wiązanka spadła na ziemię, patrzył z obrazu cicho i uważnie, jakby oczekiwał nowego uderzenia.

Ale Gilbert nie podniósł już ręki na niego.

VII.

Przez kilka następnych dni padał deszcz. Nauczyciel, który prawie na chwilę nie opuszczał Gilberta, opowiadał mu o swej chorobie, o tem, jak spał i co jest najważniejszem w jego cierpieniach, i znacznie szczerzej narzekał na to, że nie można było wyjść.

Siedzieli w pokoju Gilberta. Młody ksiądz jak piastunka lub siostra miłosierdzia bezustannie starał się wybić mu z głowy jego boleści, ale ponieważ nauczyciel wszystko już wyliczył, musiał zacząć znowu od początku. A że jego narzekaniom towarzyszyły i dowody i tłomaczenia księdza, musiały się i te powtarzać. Nauczyciela to rozgniewało.

— Ale przecież mi ksiądz ciągle to samo powtarza, a mnie jak było tak i jest! Pociesza mnie ksiądz tylko, a wszystko to nieprawda!

— Tak, ale przy pańskiej chorobie najważniejszem jest starać się oderwać od niej, zająć się czem innem, a tego właśnie pan nie robi. Pan się rozkoszuje swem cierpie-

niem. I nietylko, że pan sobie przypomina, jak się pan czuł wczoraj, ale nawet wywleka pan wszystkie choroby zeszłoroczne i wmyśla się pan w nie!—mówił Gilbert bezradnie, nie wiedząc już, co począć.

Ale nauczyciel, rozstrojony niepogodą — zawołał z rosnącem zniecierpliwieniem:

— Widać, że ksiądz nigdy nie był chory! A ja się tak ze wszystkiem zwierzyłem! I cóż mi to wszystko pomogło! Tyle, że się ksiądz teraz ze mnie śmieje. Mnie jest potrzebny spokój, a tymczasem i ksiądz nawet mnie drażni! — napół z płaczem mówił już u progu nauczyciel i wychodząc, szybko trzasnął drzwiami.

Księdzu mignęła w drzwiach już tylko jego zsiniała, zrozpaczona twarz.

Siedział naprzeciw krzesła nauczyciela, nad rzadko zapisanymi arkuszami dzisiejszego kazania, w podziwie patrząc na zamknięte drzwi i słuchając ginącego odgłosu kroków.

— Ale przecież ja pragnę dla niego tylko wszystkiego dobrego, staram się go uspokoić.. Jakżeż się stało, że mu mogłem sprawić przykrość? — rzekł ze wzruszeniem i nie skończył.

Wstał i wyszedł do mieszkania nauczy-

ciela. Zaledwie jednak zamienił w małej kuchence kilka słów ze starą matką nauczyciela, usłyszał, jak ktoś zamyka na klucz drzwi pokoju, do którego chciał wejść.

Domyślił się, że zrobił to nauczyciel, poznawszy go po głosie.

— Może chce spać—mówił do staruszki, starając się opanować drżenie głosu.—Przyjdę później.

Ale staruszka o znużonej twarzy nie miała jeszcze dotychczas sposobności zwierzyć mu się ze swymi bólami; musiała to teraz zrobić.

Synowa była w odwiedzinach u gospodyni klasztoru, mogła więc mówić głośno, bo ona była przyczyną jej strapienia.

— Według mnie, proszę księdza jegomości, temu wszystkiemu jest winna ona, ona sama wywołała tę jego chorobę, ona, jego żona!—zaczęła staruszka, obtarła białym fartuchem stołek i wskazała nań.

Ksiądz usiadł.

Staruszka ciągnęła dalej, wiosłując śpiesznie chudemi rękami ku jego twarzy i tłumiąc głos, który, miejscami jakby rozpętany, przeskakiwał w głośniejsze tony.

— Jak ja się o niego starałam, oszczędzałam, pieściłam! Sama wszystkiego się

wyrzekałam; na to tylko uważałam, żeby mu niczego nie brakło. Jedynego jego na świecie miałam; odkąd żyje, nigdy mi nie chorował. A ona — jakby mi go kto z pod ręki kradł! Chłopka! Odradzałam mu. — Myśmy ludzie delikatni, ona nie dla ciebie. Ale cóż! Chwyciło go to, jak jaka choroba. Musiał ją mieć. On ma już taką naturę. Jak się na czem uparł, zawsze musiałam ustąpić. Krzyczał, mało że się nie rozdarł, jeszcze kiedy był mały. Wiedziałam, że nie ustąpi. A skądżeż ona ma mieć to wykształcenie, aby mu dogodziła, aby uważała na to, czego on sobie życzy. A głowę ma zatwardziałą! Aby się postarała dać mu coś lepszego na kolacyę, broń Boże! Da mu to co i drugim.

— Przestaniecie tam raz gdakać!?—krzyknął syn w pokoju. — Nie mam ani minuty spokoju!

Staruszka przelękła się. Jej ostatni ruch ręki zamarł w połowie drogi.

— Biedactwo!—szepnęła boleśnie.—Człowiek nawet nie wie, że mu sprawia przykrości!—mówiła zupełnie cicho, tworząc słowa tylko wyraźnym ruchem warg, jakby mówiła do głuchego.

Gilbert miał nieprzyjemne wrażenie. Je-

go serce drżało pytaniem. I tak ci ludzie pędzą życie, całe długie życie?

Przypomniał sobie, że go przeor prosił, aby przyszedł do gospody, w której w niedzielę schodzili się nauczyciele. Ponieważ mu obiecał, szedł tam teraz zajrzeć.

Do gościnnego pokoju wchodziło się przez kuchnię. Tłusta, stara żona oberżysty z wodnistą, dobroduszną twarzą, z obrzękłemi zmarszczkami pod oczami, ukłoniła mu się głęboko i niewyraźnie wymawiając wszystkie spółgłoski bezzębnymi usty, oznajmiła mu, że jest tam dopiero tylko pan sekretarz i pan Kozel. To krawiec tutejszy, wykształcony człowiek! Był w Tyrolu i po niemiecku mówi jak po czesku—kończyła.

— A ksiądz jegomość wygląda jak panienka! — dodała, chcąc wszcząć poufniejszą rozmowę, z zamiarem dowiedzenia się, z których stron pochodzi i czy ma jeszcze rodziców. Ale ksiądz jegomość zaczerwienił się i, nie odpowiedziawszy, wszedł do gościnnego pokoju.

W kącie narożnego pokoju, z oknami wychodzącemi na dwie strony: na lasy i łąki, siedzieli owi dwaj nieznajomi.

Gilbert pozdrowił ich cicho i usiadł przy drugim stole.

Czuł, że patrzą na niego nieżyczliwie, z jakąś złością lub szyderstwem.

Po chwili wszedł do pokoju starzec, chłop, w skórzanych spodniach, w twardym kapeluszu, w samej kamizelce. Przeszedł przez izbę, usiadł przy Gilbercie, oświadczył mu, że jest wójtem i że go już zna.

Jego twarz i zarost przypominały koźlą głowę, której brakowało tylko rogów.

Zaczął mówić w trudno zrozumiały sposób o rzeczach zupełnie Gilbertowi obcych; o niezatwierdzonych wyborach, o tem, jak sobie wymyślano, że on ma przedłożyć rachunki, tyczące się dawno zgubionych pieniędzy, których od swych poprzedników ani nawet na papierze nie odebrał, a teraz, że ma naraz albo dać trzy tysiące reńskich, albo zrezygnować z wójtowstwa.

— A to nazywą się autonomia! — półgłosem rzucił sekretarz dworski. Nieporządek za nieporządkiem!

Wójt roześmiał się, ale ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa gniewał się z sekretarzem, nie odwrócił się nawet ku niemu, i aby uniemożliwić ewentualną nową uwagę, zaczął jeszcze niezrozumialej powtarzać pełne niezadowolenia, gdzieś zapewne wyczytane słowa:

— Tak, razem pracować, a nie jak mnie się stała taka znakomita przygoda, lub też rzekłbym, szczególny wypadek; to znaczy, nie chcę tem powiedzieć, aby to miało być czemś w rodzaju zabawy, inaczej mówiąc, przedstawienia, oto dlaczego kupy musimy się trzymać, a nie myśleć wciąż o protestach wyborczych...

Wójt skończył, nie wiedząc, co dalej mówić, a przy drugim stole, pod obrazem, przedstawiającym wszystkich panujących monarchów, odezwał się przytłumiony śmiech.

Poczem nastała kłopotliwa cisza.

Opierając się na lasce, wszedł do pokoju oberżysta, ubrany w biały kaftan rzeźnicki, i usiadł na brzegu ławki.

— A cóż tam z tym waszym stawem!— krzyknął na niego wójt i przysiadł się do niego, unikając w ten sposób nowego szyderstwa.

Chwilę później wszedł Horsky w kawowo-brunatnem ubraniu, w aksamitnej kamizelce, ze złotym łańcuszkiem od zegarka i z cygarniczką z pianki morskiej, na której siedział wywijający kapeluszem rzeźbiony Tyrolczyk.

Horsky przywitał się z obu panami, siedzącymi w kącie pokoju pod obrazem, przed-

stawiającym cesarską rodzinę, potrząsnął po kolei ich rękami, wzniósł oczy ku niebu i westchnął żałośnie.

Jego tłuste palce były ozdobione pierścieniami, jakby sobie za dziesiątaka nakupił ołowianych obrączek, jakich na odpustach sprzedaje się tuzin za grajcar.

Dlatego bezustanku głaskał się po łysinie lub po twarzy—to prawą, to lewą ręką.

Przysiadł się do Gilberta z miną tak żałosną, jakby klękał do jeneralnej spowiedzi.

— Ksiądz przeor jeszcze nieobecny?— spytał, ale nie czekając nawet na odpowiedź, ciągnął dalej: Napisałem sobie dziś nad drzwiami piękny, doprawdy piękny wiersz, tak sam, z własnej pilności.

I wyjąwszy z portmonetki świstek, oddalił go od oczu i czytał:

Nie jedna kotwica
Na korabiu świeci,
Nie jedną nadzieję
Miejcie — ludzkie dzieci.

Skończył i czekał. Gilbert pochwalił go, choć w gruncie rzeczy nie wiedział nawet, co słyszał.

Przyszedł przeor, prowadząc z sobą nauczycieli. Był w długiej, wytartej kleryce, ręce chował wciąż za szkaplerz. Jego oczy

świeciły radością życia, a jego głos wypełniał całą izbę, jak aryston. Nauczyciele, a mianowicie dyrektor, długi, jasnowłosy pan, milczący, obdarzony tenorowym głosem, a przytem starający się o gospodarstwo domowe, maleńki, uśmiechający się nauczyciel, zupełnie cichy, zajmujący się tylko pogodą, a wreszcie ów, podobny do Rzymianina, nie ośmielili się usiąść, póki przeor nie przywitał się z obecnymi, poczynając od sekretarza i krawca.

Rzymianin, szczerząc wszystkie piękne, białe zęby, znowu tak samo miodowo przywitał Gilberta.

Horsky już dawno się rozgadał, zagarnąwszy zupełnie dla siebie maleńkiego poczciwinę,—nauczyciela, który twierdził, że pogoda deklaruje się zawsze o jedynastej godzinie, rozgadał się o swej żonie, niewiernicy amerykańskiej, która mu zmarnowała jego młode lata—i jeździł ręką, pierścieniami ozdobioną, po łysej głowie.

— Niech pan tylko pomyśli! — doleciało do uszu Gilberta.—Kiedym szedł drogą koło pola, baby pracowały na pańskiem; było ich tam, jak much. A wszystkie przestały w robocie i patrzyły na mnie. Wszyscy sobie mną gęby wycierają! tom wiedział. Zda-

wało mi się, że ze wszystkich stron słyszę: To ten, któremu uciekła żona! Musiałem podziękować za służbę. Nie mogłem tego wytrzymać!

Leśniczy, już od rana podchmielony, usiadł w drugim kącie przy oberżyście i wójcie, a opowiadając o swoim synu, krzyczał: Żyżka także długo się uczył. Ale on studyuje dłużej niż Żyżka. On sobie wyobraża, że jak powie a c z k o l w i e k, to mnie tem aż zamroczy. A cóż to takiego, to a c z k o l w i e k? To jest a c z i k o l w i e k! — tłomaczył swym towarzyszom i uśmiechał się tępo, szukając w ich twarzach skutku swego wykładu.

Sekretarz i krawiec wyszli, kłaniając się wszystkim, wyjąwszy Gilberta, czemu on zresztą nie przypisywał żadnego znaczenia.

Przeor, który wszystko zrozumiał i widział przez szkła swej godności i prawdy swego „ja", patrzył na wszystkich z owym dziecinnym wyrazem oczu, uśmiechał się, żartował. Przekomarzał się z kierownikiem szkoły, wytykając mu, że sam karmi swe wieprze, i że nigdy nie zapomni o godzinie karmienia.

Wielkimi krokami przechadzał się po po-

koju, paląc cygaro, które, dużo mówiąc, często wyjmował z ust.

Doszedłszy do drzwi, zaglądał za każdym razem do kuchni.

— A, pończocharka tu jest! — krzyknął naraz ze śmiechem do kuchni. Pończocharko! Chodź-no pani! Zaraz!

Goście roześmiali się.

Wiedzieli, że przeor przezywa tak industryalną nauczycielkę.

Na zawołanie weszła do pokoju chuda panienka trzydziestopięcioletnia; ale nędzą tak wymizerowana, że wyglądała znacznie starzej.

Drżała.

Miała na sobie jasną, wyżółkłą suknię, a na głowie, ozdobiony piórami i niezapominajkami letni, zaszanowany kapelusz w rodzaju tych, które sprzedaje się w Perłowej ulicy.

Twarz jej powleczona była tylko skórą, rzadkie jasne włosy nie zakrywały głowy do tego stopnia, aby mogły zasłonić łyse miejsca, niebieskie oczy z lękiem przesuwały się z gościa na gościa, jakby się musiała przed wszystkimi upokorzyć, ponieważ wszyscy byli jej przełożonymi. I rzeczywiście tak było.

Jej ściągnięte wargi, którymi pokrywała spróchniałe zęby, chciały się ułożyć do pełnego szacunku uśmiechu, ale zamiast niego, szarpnął nimi lęk.

— No tak, pończocharko, pończocharko, —mówił przeor, powtarzając z upodobaniem ostatnie słowo — gdzieżeś to pani siedziała przez cały tydzień, że pani nie było widać.

Nauczycielka trzęsła się, jak złamana, na ostatniem włóknie wisząca gałąź, kołysząc się nierówno ze strachu i zakłopotania.

— Szyłam, proszę księdza jegomości, u pana dyrektora! — wyrzuciła, zwracając ku gościom oczy pełne prośby o uwolnienie.

— A co to za kapelusz masz pani znowu?—spytał przeor, ściągając jej z głowy kapelusz.

Był przypięty szpilką.

Wyciągnęła ją usłużnie.

— Popatrzcie panowie, jaki to kapelusz ma ta pończocharka!—mówił, podnosząc go do góry.

— Ile kosztował? — spytał, wyjmując cygaro z ust i puszczając jej dym w twarz.

— Piątkę, proszę bardzo.

— Patrzcie, pończocharka ma kapelusz za piątkę! A w niedzielę tu chodzi na kolacyę! Wielka pani! Musimy jej coś strą-

cić z pensyi, na cóż jej dwanaście reńskich miesięcznie?

— Proszę, ja ten kapelusz mam już trzeci rok. Kupiłam go jeszcze za życia tatusia. Teraz jużbym nie mogła.

— Teraz pani lepiej, bo pani nikogo nie masz. A i tak zawsześ się pani namęczyła, jakeś pani przez pola śniegiem goniła do domu.

— Nie, nie lepiej. Teraz już nie mam do kogo iść. Przecie mogłam się choć przed kim pożalić. Nawet nie wiedziałam, że był śnieg. A teraz jestem sama.

— Widzicie, jej się cni, pończocharce! Kupimy jej pieska! Złożymy się i kupimy jej pieska. Męża już się nie może spodziewać. Wygląda, jak odgrzewana kuropatwa. Industryarka to takie ludzkie szumowiny.

Nauczycielka ściągnęła usta i zmusiła się do uśmiechu.

— Proszę, tak, proszę — mówiła potakując, choć nie wiedziała czemu.

Długo nią przeor gości bawił. Dopiero gdy wyczerpali wszystkie żarty, wymyślone o niej, wszystkim znane, coraz niedyskretniejsze, żarty, przy których wstyd tamował jej dech w piersi, przy których przestępowała z nogi na nogę, czekając, rychło jej

pozwolą odejść, dopiero gdy wyczerpali wszystkie te dowcipy i zajęli się czem innem, zrozumiała z ich milczenia, że może już odejść.

Pełen strachu i pokory uśmiech ściągniętych warg nie zniknął z jej twarzy nawet w kuchni, dokąd chodziła kupować resztki kolacyi, różne skrawki pieczeni, by choć raz na tydzień zjeść coś mięsnego.

Kiedyś, gdy te żarty były dla niej nowością, płakała. Ale dziś brakło już łez.

Zamienił je ów, zapewne, skostniały uśmiech lęku i strachu.

Gilbert, który, zapomniawszy o sobie, w osłupieniu przyglądał się tym żartom, prosząc wzrokiem przełożonego, by ich zaniechał, wyszedł za nią.

Stała w kuchni w kąciku, czekając na kolacyę.

Gilbert rzekł jej kilka słów.

— Tak jest, proszę, tak jest!—odpowiedziała, nie zmieniwszy wyrazu twarzy. Cała jej istota mówiła:—Zajmuję jaknajmniej miejsca, mniej już zajmować nie mogę, co mam zrobić, abym nie stała nikomu w drodze?

— Pani rzeczywiście nie ma nikogo na świecie?—spytał Gilbert.

— Nie mam, żywej duszy nie mam.

Prócz macochy! Ale nie chodzę do niej. Nie lubi mnie.

— Więc pani jest wciąż sama? Co pani robi? Czem się pani zajmuje?

— We dnie, prócz zajęcia w szkole, pomagam pani dyrektorowej, a wieczorem płaczę.

— Zawsze?

— Zawsze. Siedzę na grobli lub przy oknie i płaczę. Myślę przytem o nieboszczce mamie i tatusiu, modlę się za nich i czasem mi się zdaje, że już jestem napół tam, gdzie oni, i dziwno mi, gdy kto do mnie zagada.

Gilbert zauważył, że wciąż się jeszcze trzęsie i że znowu stoi tak pokornie, czekając na koniec posłuchania. Opuścił ją i nie wrócił już do towarzystwa.

Słyszał donośny, rozlewny głos swego przełożonego.

Wołał: — No, pończocharkę moglibyśmy mu darować, ale nie wiem, co młynarz Kwietowski powie na to, że mu nasz wikary włazi w kapustę, oj, nie wiem!

Po tych słowach odezwał się śmiech gości.

Gilbert poznał głos przełożonego, ale słów nie zrozumiał.

Wyszedł na przyzbę i stał tam chwilę.

Przeszedł jakie sto kroków i znowu zatrzymał się przy grobli.

W sercu czuł jakiś lęk, jakby go coś złego miało spotkać.

Przypomniał sobie cierpienia tych ludzi. Przesunęły się wszystkie postacie przed jego wzrokiem: nieszczęśliwy Horzky, pijany leśniczy, nauczyciel, jego rodzina i małe niebożątko — „pończocharka". A najwięcej bolało go to, że wszystkie te cierpienia były trwałe, że nawet ruszyć nimi nie mógł, że, jak sobie wyobrażał, najmniejszego kamyka z tego gmachu nie mógł wyjąć.

Stał i stał, a myśli jego cicho płynęły. Od czasu do czasu lekki wietrzyk wstrząsał rosnącemi nad stawem młodemi wierzbami, na które się w zadumie zapatrzył. Przyglądał się tym delikatnym drganiom.

Na zżętych łąkach wyrastała już nizka trawka.

— Jak wcześnie ją skosili! — myślał, patrząc na łąki.

Niczem mętna stal rysowały się na horyzoncie lasy, a jakby brzegi ich były przerzedzone, przepuszczały światło.

Poza czarno-zielonawemi koronami kasztanów, rosnących na nasypie przed klaszto-

rem, sterczał blachą pobity dach, wybiegając bladym grotem w obłoki wieczorne.

Chwilami szumiało coś w kasztanach i gęstniały pod nimi cienie.

Gilbert stał i stał—i serce go bolało.

Nie był to ten świat, o jakim on myślał, prostaczek mały.

Nie mógł być zaproszony na ucztę świętej Klary, która jako jedynej łaski pragnęła— ugościć raz św. Franciszka z Assyżu,—bo świętych Klar już nie było. Nie mógł przysłuchiwać się słodkim, wzniosłym, podziwu godnym słowom tego świętego, nie mógł biesiadować z nim, zapomniawszy o potrawach wśród niebiańskiego zachwytu i przemienienia, którem promienieli wszyscy tak, jakby dokoła nich lasy gorzały. Nie mógł. Wśród innego stulecia zabłądził, jak wśród obcego lasu. Święty Franciszek, miły święty, nie rozmawiał już z jaskółkami i nie uczył ptaszków wdzięczności dla Stwórcy za to, że żyją, że mogą latać przez podziwu godne powietrze, że wolno im wieszać swe gniazda wśród gałęzi kwitnących drzew.

Minął wiek geniuszów-prostaczków.

Gilbert kierował się ku klasztorowi, ale nie wszedł do niego.

Przeszedł się kilka razy po wązkiej

ścieżce wśród trawy. Chwilami zamykał i otwierał oczy. Zdawało mu się, że zorza skądś bije i chciał się w ten sposób przekonać, że się myli. Powiedział sobie, przypomniawszy sobie przeora: Jakież może być nasze dzieło, jeżeli nie żyjemy prawdziwie, wzniośle, dzień za dniem, sekundę po sekundzie? A niema innego dzieła prócz życia. Życie powznieść należy. A wówczas powznieśliśmy i dzieło samo!

Wracał po ścieżce. Znowu zjawiła mu się zorza. Widział ją rzeczywiście. Różowe, niewyraźne światło wylewało się z rogu zabudowania klasztornego, gdzie nie było okien i niby lśniący proch osiadało na wierzchołkach traw i białych złocieni. Gilbert zbliżył się z radością w sercu.

Cud nadchodzi—czuł. Zorza wychodziła z niziutkiej kapliczki św. Aleksego. Doszedł aż do niej.

Kamienny święty spał tu swym pokornym snem. Nad jego głową połyskiwało światełko w czerwonej lampce. Fałdy jego szaty wyścielone były kwieciem polnem. Gilbert ukląkł przed nim w trawie.

— Oto przyjaciel — pomyślał,—a każdy kwiatek to przyjaciel. I zaczął mówić: — Święty, tkliwy, wyrzekający się! Jakby cię

byli pieścili i kochali, gdybyś się był przyznał! Ale ty znosiłeś wszystek ucisk, i głód i ciosy dla wielkiej pokory wyrzeczenia się! Przypomniał sobie, jak ktoś raz powiedział o tym świętym: Musiał to być jakiś obłąkaniec!—I modlił się: Boże, daj mi należeć do świętych głuptasków, daj mi należeć między obłąkańce! Klęczał u kamiennego grobu, a jego marzycielskie serce radowało się zachwyconem weselem szalonych entuzyastów. Czuł się szczęśliwym, że zastał świętego i łąkę w różowej zorzy ofiarnego światła, że miał się dlaczego rozpłomienić, że się powtórzył paroksyzm szczęścia.

Zaszumiała trawa. Oglądnął się. Wysoka, szczupła kobieta zbliżała się ku niemu, ale stanąwszy przy nim, uklękła, jakby go nie zauważyła, skłoniła się nad świętym, wzięła w rękę lampkę, dolała do niej oleju z przyniesionej flaszki i postawiła na dawnem miejscu. Poczem przeżegnała się, złożyła ręce i zmówiła szeptem krótką modlitwę. Gilbert obserwował ją; światełko rzucało odblask na jej twarz. Zdawało mu się, że była podobna do industryalnej nauczycielki, ale jakby odmłodzonej, innej i szczęśliwszej.

Nie odezwał się do niej. Oparł się ra-

mieniem o mur, jakby się jej usuwał i zrobił jej miejsce. Nie wiedział, co mówić. Czuł, że w porównaniu z innymi ludźmi był tak nieznośnie romantycznym, że aż się tego wstydził. Nie wiedział, jakby mogło brzmieć proste, naturalne słowo. Przypomniało mu się, jak dawniej, ile razy odezwał się do swych kolegów, miauczeli na niego, parodyując jego sentymentalny sposób mówienia. Przeto milczał.

Nauczycielka pomodliła się, przeżegnała i czekała. Naraz skrzywiła się, wciągnęła w piersi powietrze — załkała, zapłakała i, zanim Gilbert miał czas pomyśleć, pochyliła się i pocałowała go w rękę.

— Za co?—szepnął Gilbert i wstał.

— Tak tylko, dziękuję — mówiła nauczycielka, nie wstając z ziemi. Trudno mi powiedzieć to słowami. Nie potrafię tego wypowiedzieć. Wszyscy się śmiali, wszyscy się ze mnie natrząsali, tylko ksiądz jedyny mnie spytał, czy mam kogo na świecie i czy ciągle płaczę. Tylko ksiądz powiedział: — Czy pani zawsze sama? Czem się pani zajmuje?—Jedyny ksiądz rzekł:—Co pani porabia?—Dawno już nie mówił ze mną nikt tak pięknie.

— To pani zapala tu lampkę przed św.

Aleksym?—przemówił do niej, jakby rozmawiał z dzieckiem.

— Tak. Ksiądz przeor jegomość pożyczył mi „Żywoty Świętych", a tam o nim stoi, jak go wszyscy przezywali, jak go bili! Dlatego zapalam przed nim tę lampkę.

— To ksiądz przeor pożyczył pani „Żywoty Świętych"? Te stare w szarej oprawie?

— Tak, te!

— Ach, Boże!—westchnął Gilbert. — Te stare w szarej oprawie.

— A ksiądz także jest święty! — mówiła nauczycielka ze wzruszeniem.—Zdaje mi się, że ksiądz nie wie jeszcze, w czem znajdzie swoją świętość, ale ksiądz z pewnością do niej dojdzie. Nikt księdza nie zrozumie, będzie ksiądz może odwiedzał kamienne nagrobki i światła przed nimi zapalał, ale będzie ksiądz świętym. W gospodzie śmieli się z was. „Zobaczymy, jak nam z farbą wyjedzie"!—mówił ksiądz przeor. A drudzy śmieli się tak szkaradnie. On ani pończocharce nie daruje—mówili. Taki zielony jeszcze!—mówili. Nie mogłam tego już słuchać, wyszłam do swego świętego. A gdym szła do niego koło księdza, świeciła moja lampka. Musiałam księdza pocałować w rę-

kę. Proszę księdza, ja mam ciężkie życie, ciężkie i nędzne, ale muszę wierzyć w kogoś na świecie. Prócz Boga, prócz świętych, muszę mieć jakiegoś człowieka, któremubym wierzyła. I jedyny człowiek, jeden jedyny, może ocalić cały świat. Choćby to był ktokolwiekbądź, choćby nawet ostatni żebrak, musi dać błogosławieństwo całemu światu. Takem sobie to wymyśliła i od tego czasu znoszę cierpliwie wszystkie strapienia. Bo kto nikomu na świecie nie wierzy i niema potrzeby wierzyć, ten już stracony, ten przepadł zupełnie. Myślałam o dawnych męczennikach, jak ich męczono. Najgorszem jednak ze wszystkiego musiało być, że do nich mówiono ordynarnie, że im ludzie ukazywali swe barbarzyńskie, zgniłe serca. Może opowiadano im ordynarne anegdoty, może się z nich wyśmiewano. Nieprędko przyzwyczajają się ludzie do ordynarnych anegdot? Wygodnie im z niemi i przyjemnie, jak kiedy zdejmą z siebie surdut. A ich wstyd mówi: Czemużem się bronił, przecie tak i wygodnie i ładnie. Święci męczennicy wierzyli w koniec świata blizki, myśleli: wszystko zostanie zasypane, a my za chwilę odejdziemy do Boga. Nie potrzebowali wierzyć w człowieka. Ale

cóż my, ja, jakbym ja mogła żyć bez wiary? Proszę księdza jegomości, proszę się nie gniewać, żem się tak rozgadała, że mnie ksiądz cierpliwie wysłuchał. Musiałam komuś powiedzieć, com w swojej samotności wymyśliła. Proszę na mnie nie zwracać uwagi. Tylko niech mnie ksiądz czasem tak spyta, święcie i poprostu:—Co pani porabia?—albo co innego niech ksiądz powie. Poznam przynajmniej, że i we mnie ktoś wierzy jako w człowieka.

Nauczycielka rzekła te słowa głosem chrapliwym, nierównym, podnieconym, pochyliła się szybko ku nogom świętego i pocałowała je, chwyciła znowu rękę Gilberta, przyłożyła do niej wargi i chciała wstać. Podał jej rękę i podniósł ją.

— Dziękuję pani — mówił zmieszany. — Ja pani nie pocieszyłem, przeciwnie, pani pocieszyła mnie. Pani mnie, nie ja panią.

VIII.

Gilbert nie tylko, że nie wiedział, co robić, aby ludzie przestali cierpieć, ale nawet nie mógł sobie wyobrazić, jakby wyglądali, gdyby byli szczęśliwi.

Widział raz w Pradze na ulicy staruszkę, która zwinięta w kłębek siedziała na skraju chodnika i sprzedawała żabiniec. Było to podczas chłodnego, listopadowego poranku. Deszczułka, na której ułożyła kwiaty, była pokryta szronem.

Przechodziła koło niej jakaś prosta kobieta, z chustką przez ramiona przerzuconą, dała staruszce krajcar i pogłaskała ją po twarzy.

Babunia rozpłakała się rzewnym, pełnym troski płaczem dogasającego człowieka, cienkiej, otłuczonej skorupki ludzkiej.

Gilberta uderzyło, dlaczego tej staruszki nie umieszczono w jakim zakładzie, dlaczego nikt się o nią nie zatroszczył, zagadnął ją. Ale nim ją jeszcze o to spytał, powiedziała staruszka, zwracając nań zaczerwienione oczy.

— Proszę łaski pańskiej, stara jestem, opuszczona. Mam 86 lat, wszyscy mi pomarli, jakby ich kto kosą podciął. Nikogo nie mam, nie mam z czego żyć, prócz tego małego zarobeczku; ale czego się jedynie boję, to aby mi się nie pogorszyło, aby mnie nie oddano do Bractwa miłosiernego.

Gilbert odszedł od niej z piersią ściśniętą, groźną, bolesną trwogą własnej bezsilno-

ści i własnego ubóstwa; a prócz tego męczyła go zgroza nad tem, jak ciężko wogóle przynieść komukolwiek ulgę, gdy co chwilę napotyka się nowe przeszkody.

Podczas mszy pomodlił się za staruszkę, prosząc Boga, aby przyjął jej duszę do swej łaski. Ale nieustannie przychodziło mu na myśl wspomnienie rzężącego płaczu z nędzy i strapienia. I ślubował sobie, że jak tylko wejdzie w życie, rozda całego siebie, aby tylko mógł, gdzie się to da, ból ukoić.

Lecz stał tu teraz oko w oko z bólem, prawie tak samo bezbronny, jak wówczas przed ową staruszką, która tego, co on nazywał—dobrem, obawiała się więcej, niż swojej nędzy.

Tu, na wsi, jak tylko wykonał swe obowiązki, wychodził do lasu i rozmyślał.

Chwilami zapominał o tem, co go gniotło.

Ludzie kosili trawę na leśnych łąkach, na łąkach różowych od mietliczek, bukowemi lasami otoczonych, z nizką trawą, z białymi, miękkimi, zadumanymi złocieniami, z kłosami tuszycy i przekwitającego szczawiu.

Wiatr, który przebiegał przez korony drzew i latał polami równemi, niósł Gilbertowi woń zżętej, więdnącej trawy i ostry dźwięk klepanych kos.

Usiadł na skraju lasu i zapatrzył się na cały obraz w ramie złoconych koron bukowych, na woniejące już na samą myśl o nich cienie lasu, gdzie żeńcy złożyli ubrania, na żeńców, na prawidłowy ruch ich ramion w pstrokatych rękawach koszul, na cały ten barwny obraz z wysokiem niebem, którem płynęły śnieżnobiałe stada obłoczków.

Znikęły stare obrazy. Ale ich bolesne wspomnienie wciąż się odzywało.

— Co mnie to boli? — przypominał sobie Gilbert, przemocą odrywając się od obrazu, który go na chwilę ukoił. I znowu wszystko wracało w całym rozgorzałym, buchającym płomieniem pytania.

Zbliżył się do niego właściciel łąki, młynarz, w wysokich butach, w kamizeli, długi, rozkiwany, stary. Na głowie miał śpiczasty, przemoczony kapelusz z wygiętym skrzydłem.

Twarz jego była czerwona ze znużenia. Twardy, biały zarost zwijał się na brodzie w pierścienie.

Usiadł koło niego i opowiadał; a jakby wiedział, na co Gilbert czeka i co go najwięcej zajmuje, zaczął mu opowiadać o swem nieszczęściu.

Polegało ono na tem, że młyn miał tak

zadłużony, iż nawet procentów płacić już nie mógł i że miał dziesięcioro dzieci.

Córki, dorosłe dziewczęta, pracowały na łące. Pokazał mu je.

— Harujemy!—mówił. — A wiemy, że się to utrzymać nie da. To darmo. Sprzedadzą nam to wszystko.

Gilbert go pytał, komu jest winien.

Ze słów jego poznał, że głównie adwokatowi i że młyn przeprocesował.

— Nie pytałem, com winien. Całe lata się to wlokło, tysiące się tego nazbierało. A dzieci, wiadoma rzecz, na żebry pójdą.

IX.

Odszedł od starszego młynarza, kierując się ku górom.

Łąki były na górach porosłe bukową krzewiną, srebrzyście do słońca połyskującą.

Mleczne morze powietrza leżało na górach, na ciemnych lasach.

Nie było tu życia.

Czasami dolatywały tu odgłosy siekier drwali, z miejsca, nad którem unosił się dym

ich ognia. Czasami zabrzęczała mucha lub przeleciał biały motyl.

Gilbert czuł, że tu jest sam, sam na sam ze słońcem, że jest ich tu tylko dwóch, słońce i on.

Słońce grzało, czuł je aż w sercu. Błądził, ale coś nieznanego w nim, czy z poza niego wiodło jego kroki, coś nieuświadomionego ale stanowczego.

Zbliżał się stale do leśniczówki bez własnej woli, tylko dzięki niemożliwości, która nie pozwalała mu odejść gdzieindziej.

Sercem i całą swą istotą nadsłuchiwał, czy nie usłyszy słowa, pieśni, kroków, patrzył, czy się gdzie nie zjawi dobry człowiek.

Nagle z poza zakratowanego okienka odezwał się głos:

— Widzę księdza jegomości, widzę! — a zaraz potem zmieszany, nie szyderczy, wesoły śmiech, jak to dobrze odczuł.

Po chwili wyszła za leśniczówkę Jadwiga.

— Ksiądz jegomość — szepnęła zamiast powitania i podała mu rękę.

Gilbert spojrzał na nią ze smutkiem.

— Co się księdzu stało? — zapytała — Cierpiący?

— Boże, jak tu powiedzieć, czego mi

brakuje. Jakoś na nowo żyję. Nigdy nie myślałem tyle ani o sobie, ani o nieprzychylności świata. Dobrze mi tylko wówczas, gdy widzę latające motyle, brzęczące pszczoły. Nie cierpię, dlaczegóż miałbym cierpieć, ale niejasne są drogi moje. Chciałbym dźwigać krzyż żywota, wykazać swoje męstwo. Jakże mi się mierzyć z drugimi, cieszyć ich, prostować, gdy sam niewiem, jakbym uniósł ich brzemię? Mój stosunek do świata i do ludzi jest fałszywy; nie jestem dobry, nie jestem prosty, nie jestem tem, o czem marzyłem, nie jestem takim, jakim byłem w mej samotności. Mam wrażenie, jakbym zgubił własne serce i nie mógł go znaleźć. Smutne mam wieczory. Zawsze sam. A kardynał chmurzy się na mnie. Pani nie wie, kto to, ten kardynał? To czerwony obraz, wiszący w mym pokoju, obraz, który żyje!

Jadwiga roześmiała się.

— Nie, nie powinien był tego mówić o kardynale. Jest to tylko obraz. Może mi się to tylko tak zdaje. Nie znam świata. Chcę się od pani dowiedzieć, jaki on jest? Czy cały jest taki maluteńki, zazdrosny, bez ambicyi? Czy jeden z drugiego zawsze się wyśmiewa? Czy każdy jest winien swemu nieszczęściu, które później na drugich składa?

Nigdzie nie byłem, książek nie czytałem, niczego nie rozumiem. Myślałem, że zło jest proste: głód, nędza, choroba, śmierć drugiego człowieka. Nie miałem wyobrażenia o innem złu.

— No, a na teologii! Dobrzeście tam żyli ze sobą? Nie było tam między wami zazdrości? — spytała się Jadwiga.

— Widzi pani, i o tem teraz myślałem. Może i była, ale ja żyłem zawsze sam, nie zwracałem na nikogo uwagi, nie wolno nam było dużo mówić a jeśli już, to po łacinie. Nie słuchałem, kiedy się inni kłócili. Sam wszystko za nich robiłem. Wyśmiewali się ze mnie tylko, uważali mnie za tego ostatniego, a mnie było z tem dobrze. Ale tu, a może i na całym świecie, ból zczepiony jest z bólem jak w łańcuchu ogniwo z ogniwem. Nie mogę tylko wymyślić słowa, którego siłą mógłbym to wszystko zmienić.

— Ksiądz jakoś spochmurniał. Ale to nasze miasteczko tak księdza zaraziło. Tu wszyscy narzekają. Tylko mnie nie złamią. Będę żyła, choćbym kamienie miała gryźć, jak ten wojak w polu. Będę sobie śpiewała na wszystko przygotowana. Proszę pójść ze mną, zaprowadzę księdza do pięknej studzienki, a kto się z niej napije, zapomina

o wszelkiem cierpieniu. Piję z niej prawie codzień, i dlatego nie zaznałam jeszcze smutku, a jeśli jaki mam, to go cierpliwie znoszę.

Weszli w piękny las świerkowy. Szlachetne drzewa stały równo wzdłuż drogi dysząc czystym wonnym chłodem. Były smukłe jak kolumny pogańskich chramów.

Nad nimi sterczał wysoki stok górski, pod nimi w głębokim jarze żywo, soczyście dzwoniło źródełko.

Gilbert uspokoił się. Czuł nieznane, kojące piękno, które usypiało jego serce, jak pieśń nad kolebką śpiewana.

— Już droga do studzienki pani jest pełna szczęścia; zapewne rozlewa pani po niej wodę, niosąc ją w dzbanku.

— A tak, pełno na tej drodze kropel ze studzienki szczęścia. Czerpię z niej rękami, których nie osuszam z wody!

Zaczęła śpiewać jakąś pieśń w nieznanym mu obcym języku. Słuchał niezrozumiałych słów, dopóki nie skończyła.

— Co to takiego?

Przełożyła mu. — Znowu przylecą jaskółki i zaczną krążyć dokoła twego balkonu i uwiją pod nim gniazdo!

Znowu rozwinie się bukszpan i owinie

twój balkon, ale kwiaty, które najwyżej rozkwitły, a w których rosa lśniła jak łzy dnia, kwiaty, które otwierały kielichy, chcąc słyszeć słowa mej miłości — mylisz się, te kwiaty nigdy już nie rozkwitną.

Znowu zagrają organy, otworzą się kościoły, znowu ku niebu będą ludzie posyłali swe modlitwy, ale nigdy nie będą się tak modlili, jak się modliłem ja do ciebie.

— Co to za pieśń?

— Hiszpańska.

— Pani umie po hiszpańsku?

— Nie, tylko tę pieśń.

Wyszli z chłodu leśnego na płaską przestrzeń.

Gęsta, złocista mietlica pokrywała cały wysoko położony zrąb, osłaniała sterczące tu i owdzie pnie i kołysała wysoko karminowemi gronami wysoko wyrośniętej krwawnicy, lekkim wiatrem poruszanej.

Zeszli ze stoku górskiego. Las zamknął się za nimi.

Las był tak gęsty, że aż szaro w nim było.

Ktoś szedł naprzeciw nich.

Był to ów nauczyciel o wyglądzie Rzymianina.

Uśmiechnął się i pozdrowił ze szczególną intonacyą w głosie.

Nie zastanawiali się nad tem, idąc ku studzience szczęścia.

Jadwiga zapytała naraz.

— Czy ksiądz był kiedy zakochany?

Szła przed nim, widział tylko wieniec jej czarnych włosów.

Zaczerwienił się i rzekł cicho.

— Nie, nie byłem zakochany.

— Nawet jako student?

— Nie, nawet jako student nie! Miałem zawsze na myśli swoje życie w klasztorze i swoje posłannictwo.

— Biedaku!

— Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Milczeli rozmyślając każde oczem innem i szli przez gęsty, wonny las jak Peleas i Melisanda; dzięki wmówionej w siebie wierze zdawało im się, że się zbliżają ku światłu.

Chłodne, świeże źródełko biło z ziemi, ze stromego stoku górskiego.

Pieszczotliwie zciekała jej woda po boku wysokiej góry, szumiąc w głębinach pięknym, usypiającym dźwiękiem.

Uklękli przy niej i napili się oboje czer-

piąc wodę rękami. Uśmiechnęli się do siebie uśmiechem szczęśliwych dzieci.

— A teraz przyjdzie szczęście — rzekła Jadwiga.

Kryształowe krople zciekały z jej różowych palców, krzyształowe źródło małą strugą opływało po zboczu górskiem.

— Kto panią nauczył tej hiszpańskiej pieśni? — spytał Gilbert.

— Mój brat stryjeczny, Antonin. Jest marynarzem. Był długo w Hiszpanii.

— Śpiewał ją pani? — spytał Gilbert niespokojnie.

Jadwiga opuściła oczy.

— Tak, śpiewał mi ją.

— Była to pani miłość?

— Była to moja miłość!

— A dlaczegóż...

— Dlaczego wychodzę za młynarza, chciał ksiądz powiedzieć? — odpowiedziała ze wzruszeniem; — abym mogła opuścić rodziców, którzy na związek z Antoninem niechcą pozwolić!

Słońce skryło się za chmurę. Las pociemniał, nawet woda przestała lśnić w studzience.

I Gilbert posmutniał.

Więc i ona dźwigała swój krzyż, więc

i ona nie żyła prawdziwie, swobodnie, bez strapień...

— Kiedyż ślub pani z młynarzem?

— Za miesiąc.

— Boże, Boże! — westchnął Gilbert.

X.

Młody młynarz stał na dziedzińcu przed leśniczówką i bawił się kurkiem od strzelby.

Kiedy zjawił się Gilbert z Jadwigą, począł mierzyć w kierunku lasu, prawie, że do nich, rzeczywiście do nich, do głowy Gilberta.

Gilbert uśmiechał się, jak gluptasek.

Sam nie rozumiał, o czem myślał w tej chwili.

Szedł prosto na wymierzoną broń. Jadwiga, która zrozumiała, o co idzie, krzyknęła.

— Janie, ani się waż!

Padł strzał, jakby szarpnięty okrzykiem Jadwigi.

Kulka przeleciała tuż koło głowy Gilberta.

Gilbert nie przestawał się uśmiechać, choć bolało go serce z powodu wszystkiego, co

słyszał, co przeżywał i co, jak poznawał, nazywało się światem.

— Chciał mnie pan zastrzelić? — spytał naiwnie młynarza.

— Tak. I zdaje mi się, że drugi raz już nie chybię.

— Jakiż z ciebie waryat, Janie! — rzekła Jadwiga.

— Nie będę kołysał księżych dzieci! — wykrzyknął Jan.

Gilbert spojrzał na niego strasznemi, zrozpaczonemi oczami.

Ledwo zrozumiał ciężkie obwinienie.

Ukłonił się Jadwidze.

— Niech mi pani wybaczy, czysta i piękna, że z mego powodu musiała pani doznać tej obrazy! rzekł do Jadwigi, z trudem wymawiając słowa i zataczając się, poczem wyszedł cicho z dziedzińca.

Zawiodła go krynica szczęścia.

XI.

Równocześnie z nim przybiegł do klasztoru posłaniec, prosząc, aby ksiądz opatrzył chorą sakramentami.

Gilbertowi trzęsły się ręce, gdy brał święte przedmioty.

Po drodze dowiedział się, że chora jest nie tutejsza, nie kobieta z ludu, ale gość, który był na kuracyi.

Znalazł ją w białej izbie, w chałupce nad stawem.

Leżała na chłopskiem łóżku w starej batystowej bieliźnie.

Była to kobieta około 40 lat, wychudła, zgorączkowana. Siły jej były wyczerpane, ale myślała dotychczas jasno.

Spowiadała się szybko, jakby miała już wszystko w myśli ułożone i jakby się bała, że się to może rozprószyć.

Mówiła:

— Nadeszła godzina śmierci, nadeszła, ale ja się niczego nie boję. Sprzeniewierzyłam się w życiu Bogu i sobie, ale nie boję się niczego. Miałam męża, któregom oszukiwała, miałam kochanka, któregom zdradziła. Nigdy nikogo nie kochałam, ani Boga, ani ludzi. Moje grzechy nie były grzechami miłości, ale grzechami ambicyi i próżności. W teatrze grałam role kobiet cicho cierpiących, ale sama nie cierpiałam. Grzeszyłam obojętnością, największym grzechem świata. Dawałam jałmużnę biednym, ale nie myśla-

łam o nich długo. Zbywałam ich jako rzecz nieprzyjemną.

Grzeszyłam tem, żem nigdy nie przemyślała myśli do końca. Modliłam się tylko w chwilach potrzeby, wzywałam Boga jak strażnika na miejsce nieszczęścia i zapominałam o nim, jak tylko nieszczęście minęło. Serce moje było puste, próżne, wyschłe. Mówią, że dyabeł porywa takie serca i nawleka sobie z nich różaniec... różaniec... róża...

Chorą zmęczyło mówienie, gorączka mieszała jej myśli.

Gilbert starał się ją wysłuchać, starał się zrozumieć, o ile grzeszyła i jakie są jej grzechy, ale ręce mu drżały, a do szybkich, gorączkowych słów chorej mieszał mu się ciągle głos młynarza, jego straszne, brutalne słowa.

— Różaniec szarych serc...—ciągnęła dalej chora — a te w ogniu rozpala do czerwoności.

Wymyśliłam sobie i uświadomiłam to wszystko dopiero tu, podczas choroby, przedtem nigdy o czarcie nie myślałam.

Nie znalazłam prawdy, ale dlaczegóż mi się sama nie objawiła? Dlaczego zamieram, nie spotkawszy nigdy człowieka, któryby mi ją wskazał, albo któryby jej był przynajmniej

szukał? Kto jej szuka? Wszyscy żyją, jak żyłam ja. Oszukują poniedziałek, aby mogli żyć we wtorek. Szczęście nie jest przypadkiem, jest obowiązkiem. Nie mogłam go znaleść dla swego pustego serca, dla nieprawdziwego, nie szukającego prawdy serca swego. Szukać prawdy, swojej prawdy, nie sprzeniewierzyć się jej — oto w czem leży cały niepoznany sens tego wszystkiego.

Ale kłamać, przez całe życie kłamać — trudny to potem rachunek.

Wszyscy przez całe życie uważali mnie za kochankę, za miłośnicę, ale ja nigdy nią nie byłam.

Jak pięknem jest wspomnienie przeszłości, jeśliśmy naprawdę przeżywali to, cośmy przeżywali. Ale całować bez miłości, całować obce znienawidzone wargi mężczyzny... jeszcze w tej chwili wstrętem kurczy mi się serce.

Niech mi pan pobłogosławi, pan przecież ksiądz, ale z tego wcale nie wynika, żeby pan musiał być mądrzejszym odemnie. Nie potrzebuje pan mówić! Wszystko wiem. Gdyby się życie powtórzyło, gdybym mogła żyć drugi raz, gdybym mogła nanowo życie rozpocząć z mą ciężko zdobytą mądrością, wiedziałabym, jak żyć. Nie żyłabym kłamliwie.

Słuchałabym tylko najtajniejszego głosu swego serca, głosu, który odzywa się tylko wśród największej samotności i w najdłuższej ciszy. Niech i ksiądz go słucha. I tylko za tym głosem niech idzie.

Umilkła.

Po chwili zjawił się na jej wargach uśmiech, nie uśmiech starzejącej się, chorobą złamanej, umierającej kobiety, ale uśmiech dziecka, maleńkiej, tkliwej dziewczynki. Rzekła:

— A nie boję się dlatego, ponieważ wiem, że dyabeł nie weźmie mego serca do różańca serc szarych i nie będzie go męczył, ale że mnie przesadzi gdzieś do innej lepszej ziemi, gdzieś wśród pól niebieskich, gdzie mnie przestanie palić jego pustka...

Były to jej ostatnie słowa.

Nie modliła się wraz z księdzem, nie przebudziła się już.

A gdy się nóg jej dotknął świętymi olejami—chłodły.

XII.

Bladły na niebie różowe obłoczki. Jednolita, czerwona zorza paliła się na zachodzie wśród ciemnego błękitu.

Serce cichego, nie przyzwyczajonego do myślenia Gilberta, było wzburzone.

— Cóż jutro, cóż jutro, jak okłamię jutrzejszy dzień? — mówił do siebie z goryczą i usilnie powtarzał w myśli wszystkie zdarzenia dzisiejszego dnia, chcąc je uporządkować i zrozumieć. Pierwszy raz w życiu myślał długo, konsekwentnie, a myśli te ciężyły mu jak ołów. Nie można pędzić życia głuptaska. Nie można. Okrutne życie silnie zapukało do jego serca. Wrażenia mieszały się w jego spokojnym kiedyindziej mózgu.

Wieś była cicha i prawie wyludniona.

Tylko pod chatą pastuszą strażacy rozmawiali o niedzielnem ćwiczeniu, a przed małym domkiem w gęstym ogródku, zarosłym bzem, stali dwaj mężczyźni.

Zanim Gilbert zbliżył się do nich, poznał syna leśniczego i majstra krawieckiego w czerwonych pantoflach, bez surduta i kamizelki. Krawiec popatrzył na niego, szarpnął się i wszedł do gęstego ogródka.

Student zmieszany uśmiechnął się do Gilberta i przyłączył się do niego, równając z nim krok.

— Dlaczego ten człowiek odszedł? —

zapytał Gilbert.—Czy mu czemkolwiek ubliżyłem?

Student zaśmiał się, wzruszył ramionami i rzekł:—Nie wiem.

Z braku stanowczości, z jakim to mówił, i z tego, że się roześmiał, było widać, że nietylko wie, ale nawet chce powiedzieć, lecz po dłuższem wypytywaniu, aby w ten sposób zwiększyć doniosłość zdarzenia.

Po nowem pytaniu odpowiedział. Krawiec czuł się obrażonym tem, że Gilbert w gospodzie nie przysiadł się do niego i nie zagadał.

— Nie idzie o mnie!—mówił rzekomo — ale co ma na to powiedzieć pan sekretarz, taki pan,—co on powie, gdy mi już zrobi taki zaszczyt i siędzie ze mną do jednego stołu, co sobie pomyśli, że jako pierwszy radny, nie mam ani tyle szacunku u ludzi, aby na mnie zwracali uwagę?

Student mówił to z zadowoleniem, jakby się rozkoszował jakimś przysmakiem, a choć przed chwilą rozmawiał z krawcem bardzo przyjaźnie, zabarwiał teraz swoje słowa takiem jąkającem się szyderstwem, jakby mu było miło, że on sam jest daleki od podobnych śmieszności.

Gilbertowi zdawało się, że mówi o czemś

drobnem, niewidzialnem, że to, o czem on sam myśli i co przeżywa, jest olbrzymią górą, której nie można ani przesunąć, ani obejść.

Nie wiedział wreszcie, czy student mówi wciąż jeszcze do niego, czy do siebie.

Przeor przywitał Gilberta szorstkimi słowy, o których sobie wyobrażał, że są imienne i szczere.

— Proszę was, pocóż nawiązujecie stosunek, kiedyście dopiero wikarym, a ożenić się nie będziecie mogli ani za dziesięć lat?

— Nie zawiązuję żadnych stosunków! — odpowiedział Gilbert, zwykle taki spokojny, i aż sam przeląkł się swego głosu! nigdy jeszcze nie mówił takim tonem.

— A w dodatku z narzeczoną młynarza!— dodał rozzłoszczony przeor. — Będą z tego niepotrzebne nieprzyjemności.

— Ksiądz przeor się myli! — rzekł Gilbert stanowczo do przełożonego. — Między nami nie padło ani jedno słowo, któregoby nie mógł słyszeć jej narzeczony!

— Mniejsza o słowa!—zaironizował przeor.

XIII.

Dziedziniec klasztorny pełny był starych powozów i bryczek, stajnie—wyprzężonych koni, w kuchni wrzał pośpiech.

Rozdzwoniły się dzwony, całe miasteczko modliło się i śpiewało na uroczystej mszy z powodu imienin księdza przeora. Zjechali się księża z całej okolicy, aby sobie pogratulowali, na pogawędkę i obiadek.

Refektarz był czysto umyty, stoły nakryte długimi obrusami, cynowe misy pełne ciast i owoców stały między grupami butelek starych win.

Dużo było w kościele modlitw i śpiewu, ale kulminacyjnym punktem uroczystości był obiad, dobry, pokrzepiający obiad z rybami morskiemi, zwierzyną, delikatną jarzyną i ananasami.

Przyjechał elegancki krasawiec, kanonik z miasta, kochany przez wszystkie kobiety okolicy;—szybko osiągnął swój stopień.

Mówił cicho, rozważnie, zawsze każdego, z kim rozmawiał, w delikatny sposób wychwalał, zawsze wszystko lepiej wiedział, niż ten, kto z nim zaczynał rozmowę, a ile razy dowiedział się czegoś nowego, o czem nie mógł powiedzieć: „To już wiem!“ — odpowiadał:—„Spodziewałem się tego“, choć się nigdy niczego nie spodziewał.

Z uśmiechem światowca prezydował tej uczcie pełnej nieprzyjaciół osobistych i konkurentów o miejsce kanonika. Prezydował

swym towarzyszom zamienionym w gospodarzy wiejskich i kłopocących się na roli, i mówił wytwornie i gładko, aby go nie można było o nic zaczepić!

Po prawej jego ręce siedział stary wikaryusz z podziwu godnym nosem, trochę na końcu fioletowym, po lewej sam solenizant.

Najnowszy romans wikaryusza znany był w całej okolicy. Odprawił ze służby staruszkę, która dwadzieścia lat ciężko pracowała na jego gospodarstwie, a najął trzydziestoletnią okoliczną piękność, z którą jeździł na wizyty i zabawy i która zdobiła jego starość.

Przez cały czas obiadu kłopotał się tylko tem, czy Luiza wyjedzie naprzeciwko niego, czy nie.

Pytał staruszka, wysłanego przez zakon z zadaniem wyśledzenia, ile prawdy jest w raportach wikarych, nie chcących słuchać rozkazów nowej gospodyni,—pytał bez ustanku:

— A jak ci się zdaje, bracie? Wyjedzie Luiza naprzeciw mnie na kolej, czy nie wyjedzie?

A staruszek z obwisłym nosem i brzuszkiem, staruszek, który sam przez całe życie cierpiał na erotykę, spędził życie z ordynarnemi kobietami, nie mogącemi się obejść bez skandalu, biedny i naiwny staruszek, wy-

słany przez zwierzchników na wieś dla załagodzenia sprawy i uspokojenia wikarych, nic nie powiedział wikaryuszowi i odpowiadał teraz na westchnienia staruszka-towarzysza:—A myślę, że przyjedzie, bracie, dlaczegoby nie miała przyjechać?

— No, nie wiem! — uspokajał wikaryusz swe wątpliwości.—Zwykle przyjeżdża. Tylko że właśnie dziś, nie wiem, czy przyjedzie, czy nie?

Kanonik miał tylko eleganckie romanse i nigdy nie byłby się zniżył do gospodyni; dlatego udawał, jakby niczego nie słyszał.

Uważnie obserwował dwóch wikarych, siedzących na drugim końcu stołu obok O. Gilberta; żywo o czemś rozprawiali.

— Dlaczegóż piszesz, że należy stawić opór, skoro sam nigdy go nie stawiasz? Dlaczegóż piszesz to, czego sam nigdybyś nie uczynił?

— Z czegóżbym żył? Gdzież znajdę chleb, gdybym zaszedł tak daleko! Ale cały kościół, całe to gniazdo, te wszystkie czerwone czapki, wszyscy, którzy tu siedzą przy tym stole, wszyscy są mi wstrętni. I ty i ja... sam sobie jestem wstrętny, nieznośny, dzięki memu kłamliwemu życiu. O, gdybym mógł, gdybym nie miał rodziców, w tej chwili zdjąłbym z siebie ten obojczyk...

— Źle mówisz! A boś ty nie z surowego zakonu. Mało u was dyscypliny!—z zapałem powstał przeciw niemu redemptorysta. — Kto bez uprzedzenia strawi dwa dni u nas lub w innym obserwancyjnym klasztorze, pozna, że tylko ignorant lub uparty nieprzyjaciel chrześciaństwa może winę lub błędy jednostki otrąbiać na cały świat, jako ogólną cechę całego Kościoła. Tego roku odwiedziłem benedyktyński klasztor z ogromnym kościołem. Taka tam dyscyplina, że mi przyszło na myśl, czy moja reguła jest po kartuzach istotnie najstraszniejszą? Przyszedł mi tam na myśl wiersz poety: „Czy przyjdzie wreszcie czas, w którym nazawsze pierzchniecie z oczu człowieczych, oczy palestyńskie?“ — Młody ksiądz z czarną główką na cieniutkiej szyi zbyt głośno zadeklamował te wiersze.

Na drugim końcu stołu zaczęto opowiadać anegdoty.

Nie doszli jeszcze do „pointy“ i dlatego mimowoli zwróciły się wszystkie głowy w stronę młodego księdza, który spuścił wzrok i zamilknął.

Kanonik bystro spojrzał na mówcę.

Ale w jego otoczeniu znowu rozpoczęto

rozmowę, która zmieszała się wreszcie w szum, tu i owdzie śmiechem przerywany.

Policzki Gilberta płonęły; rozmowa prowadzona przez obu młodych współbraci podniecila go.

— Proszę, mówcie dalej! — rzekł do redemptorysty.

— Właśnie to tylko chciałem powiedzieć, że przyszedł mi na myśl wiersz, na widok tych ogromnych wież romańskich, które w jedenastym wieku wznieśli mnisi, niosący na północ kulturę... wieże, wydane przez Józefa II na pastwę zniszczeniu i jeszcze przed czterema laty leżące w gruzach, a dziś już znowu panujące nad okolicą... i Konwent, który jest chlubą reguły benedyktyńskiej. Oho, nie znikną oni tak łatwo, powiedziałem sobie, jak nikt tak łatwo nie zdmuchnie klasztoru z jego wzgórza...

— Ale idźże!—odpowiedział mu blady rebeljant. — I choćby tam stały wieże jak Babylon, sensu to niema! Kłamcami nas zrobili, a my w kłamstwie żyjemy. Spowiadamy z grzechów, a sami grzeszyć możemy, jak chcemy, byle tylko w ukryciu.

— Jak brat przyszedł do tego przekonania?!—spytał go redemptorysta.

— Jak? Książki czytałem i oczy mi się otworzyły. Niech mi brat powie: Kto tu z nich wszystkich żyje pięknie i czysto, kto wzniośle? Przecie to wszystko nierząd. Ciężko się wleką przez życie; a grzech siedzi na grzechu i grzechem pogania?

— Książki?—namiętnie zaczął mówić redemptorysta. — Jakież to brat czyta książki? I ja czytam, ale doszedłem do wręcz przeciwnego przekonania. Ironia losu postawiła mi na pult najnowszą książkę ateisty obok podręczników filozofii scholastycznej a „Pieśni niewolników“ bezbożnika stanęły obok utworów Tertulliana. I jedno i drugie toć poematy niewolników, tak pieśni bezbożnego poety jak i Tertullianowa „Obrona Chrześciaństwa“. Ale cóż to za różnica! Pierwsi chrześcianie byli pokornego serca, a wszystko, czego pragnęli, było: aby nie musieli umrzeć niepoznani“. Gdy tymczasem niewolnicy nowoczesnego poety nie doszli dalej, jak do zaciskania pięści, czerwonego strejku i wzywania zemsty! Nacóż zemsty?

— Och, wy, bracie! — odezwał się blady ksiądz. — Was czeka z pewnością wysoka czapka! — i zwróciwszy się ku Gilbertowi, ciągnął:—Cóż z nim zrobić? Wmówili w niego wszystko, przerobili go, on już nigdy

oczu nie otworzy. Pójdzie tylko za fioletowym płaszczem. Ale rozejrzyjcie się tu po tej sali—mówił, jakby tu już nie było młodego rozentuzyazmowanego duchownego. — Przyjrzyjcie się temu towarzystwu, które tam teraz chichoce z okropnej anegdoty,... towarzystwo, które w tej chwili znalazło już swą solidarność!... popatrzcie na nich, na nich wszystkich, śmiejących się z głupoty gospodyni z tej anegdoty, popatrzcie, jak zapominają o szacunku dla siebie samych. Śmiechem i nizkiemi słowy kalają wargi, które jutro mają przyjąć symbol ciała ofiarowanego!

— Jaki symbol? Ciało Chrystusa?—dorzucił surowo ksiądz z małą główką.

— Ech!—rzucił głową blady.—Powiedziałem—*symbol ciała ofiarowanego*. A jeśli już nawet tak powiem, to któż z nas żyje tak, aby był godzien choćby tylko symbolu? Powiedziałem: Towarzystwo, które w tej chwili znalazło już swoją solidarność — dlatego, że je łączy jedna nikczemność. Potrafiłoby je połączyć coś wznioślejszego, jakie piękne uczucie?—Och, ciężko tu, ciężko!

Zwrócił smutne, szare oczy na Gilberta i głosem niepozbawionym łez, mówił:

— *Przecie my się wzajemnie nie ko-*

chamy! — i opuścił głowę nizko na piersi. Twarz jego przybrała wyraz umęczonej duszy.

Gilbert rozejrzał się po sali i surowo położył sobie w tej chwili pytanie:

— Czy ja kocham tu kogokolwiek? Czy wogóle kocham kogo ze swej kasty?

Musiał sobie powiedzieć, że nie, że najbliższym był mu jeszcze braciszek ze zbuntowanem sercem.

I spytał:

— A czy *mnie* kto tutaj kocha? Czy wogóle jest tu możliwą prosta, gorąca miłość?

Musiał sobie przyznać, że nie.

Przypomniała mu się industryalna nauczycielka i umierająca aktorka. Rzekł po cichu do bladego księdza:

— Umierała tu kobieta. I nie ja jej, ale ona mnie dała naukę. A dziś znów wy! Wierzcie mi, nie wiem, co począć.

Blady braciszek nie podniósł głowy.

— Jeżeli jesteś uczciwszym odemnie, odejdź stąd, jeśli nie masz przyjaciół!

Roznoszono półmiski z cąbrem sarnim.

Braciszek z małą główką bardzo uważnie nabierał na talerz.

Obaj jego sąsiedzi podziękowali.

— A znacie świat? Jak *tam* jest?—spytał z zapartym oddechem Gilbert, a kładąc mu

dawno przygotowane pytanie, pochylił się ku blademu braciszkowi jak dziecię, które lęka się strasznych tajemnic życia, a przecież dociekа ich z gorączkową ciekawością.

— Świat? Społeczeństwo? Świat?... nie, on nie lepszy. Tylko inny. My, wiecie, mamy zasady, których już nie wprowadzamy w życie, a świat, postępowy świat, ma zasady, dużo zasad, mnóstwo wielkich słów, których jeszcze nie wprowadził w życie i nigdy nie wprowadzi. Nie wiem, co lepsze. Piękną jest tylko samotność i wolność. Jedynie pięknem jest—nie należeć do żadnego społeczeństwa, żadnej kasty, żadnego terroru, nie zwracać na nie uwagi, nie słuchać ich! kochać piękno dla piękna, dobro dla dobra, a nie dlatego, że tak rozkazano.

— Dziękuję wam, — rzekł cicho Gilbert.

Za krzesłem bladego wikarego zjawił się kanonik.

— Przyjdźcie jutro do mnie o dziewiątej godzinie, — rzekł surowo, ale nawet i teraz nie bez gładkości i elegancyi.

XIX.

Uczta trwała do późnej nocy. Refektarz był pełny modrego dymu cygar i rozbrzmie-

wał wesołymi głosami. Niektórzy panowie pozdejmowali surduty. Odszedł tylko wikaryusz, który nie chciał spóźnić się na pociąg i odwiózł staruszka, posłanego do niego na inspekcyę.

Gilbert odprowadzał ich do powozu.

Wracając, uczuł, że mu się robi jakoś niedobrze. Miał suche, rozpalone ręce i silny zawrót głowy.

— Przecież nic nie piłem! — uspokajał się, wszedłszy do refektarza i siadając na swojem miejscu.

Napił się wody i pokrzepił się trochę.

Dziwne myśli nie dawały mu spokoju.

Sam stawiał sobie pytania i odpowiadał na nie.

Naraz w swym zamyśleniu spostrzegł, że wszyscy umilkli. Obrócił się i zrozumiał przyczynę.

Do czarnego refektarza wszedł nie zameldowawszy się Kwietowski—młynarz.

Oczy miał nabiegłe krwią.

Nogi ciężko opuszczał na ziemię.

Zbliżył się aż do przeora, i stanąwszy przy rzeźbionym stole, uderzył pięścią w stary, dębowy blat.

— Dlaczego mi ją wziął! — zawołał tak, jakby wszyscy do najmniejszych szczegółów

musieli już znać jego spór, i zatoczył oczami na Gilberta. — Niech mi ją odda! Nie chce mnie już, wróciła mi słowo!

Gilbert zaczerwieniony, zmieszany, wołał, zająknął się, ale przemówił, nie poznając sam siebie, głosem strasznym, silnym, wzruszonym, głosem gorączki i zranionego uczucia sprawiedliwości.

— Nikt wam jej nie brał! W niczem nie zawiniłem! Wy sami obraziliście ją niesłusznie i ordynarnie. Jest czysta i dobra. I nie myślcie sobie, że mnie kocha. — Przerwał, zaczerpnął powietrza, i strapiony prawdą, którą sobie uświadomił, dodał bez rozmysłu:—Nie kocha i nie kochała ani mnie ani was. Jest ktoś daleki, o którym ona myśli, ktoś, kto po morzu jeździ, kto ją pieśni różne śpiewać nauczył, o tego ją zapytajcie. Jemu ją wyrwijcie!

Młynarz spuścił głowę na piersi i rozmyślał, a tak słowa te zgadzały mu się z rzeczywistością, że uwierzył.

Gilbert odczuł to, w tej chwili jednak przeląkł się tego, z czem się zdradził. Pojął, że czystą istotę uratował od jednej zguby, ale wydał ją na pastwę drugiej. Zastanowiwszy się, starał się, ale już bez siły

przekonania pierwszych słów, sformułować ich wytłómaczenie.

— Nie sądźcie, że ją przed wami obwiniam. Chciałem ją tylko prawdziwie oczyścić z zarzutu. Prócz mego Boga na niebie nie mam innego świadka. Myślę tak, tak jest rzeczywiście i dlatego to powiedziałem, abyście, o ile jesteście szczerym i uczciwym człowiekiem, dobrowolnie usunęli się od Jadwigi, abyście sam, jakbym to i ja zrobił, pomogli jej zbudować jej szczęście, jej prawdziwe życie!

— Dlaczego sobie tego nie powiedzą za drzwiami! — szepnął z indygnacyą kanonik.

Młynarz nie zrozumiał Gilberta.

— Mówicie, a ja nie wiem, czy kłamiecie czy nie! Wy i na kazalnicach gadacie, co musicie. Ale jeślim wam krzywdził, odpuśćcie mi moje słowa i strzał!

To rzekłszy wyszedł.

— Co to za księżulek! Niby to święty, a nigdy jeszcze nie było tu takich romansów! — mówił przeor, usprawiedliwiając się, ledwie za młynarzem drzwi się zamknęły.

Gilbert nie słyszał go.

— Pójdę za nim!—zawołał wzburzony.—

Nie uwierzył. Będzie jej dokuczał. Zło tylko sprawiłem jej, biada mi!

Gilbert chciał wyjść, zawołać młynarza. W tem doznał wrażenia, jakby okno w korytarzu podskoczyło.

Chwycił się drzwi.

W następującej sekundzie ześlizgnął się miękko, prawie bez uderzenia, na ziemię.

Był to początek długiej, ciężkiej choroby.

XV.

Gilbert leżał sam w swym pokoiku z okładami lodu na głowie, a kardynał patrzył na niego.

W nocy, gdy usnął czuwający przy nim dozorca, kardynał schodził z obrazu i zrzuciwszy swą wspaniałą, szkarłatną szatę, usiadał przy nim w śniezno-białej, reticelami ozdobionej albie, brał go za rękę i dyszał mu w twarz.

Gilbert bał się, drżał przed nim ze zgrozy, serce go męczyło, ale nie miał siły, aby mu wyrwać rękę z rąk, poprosić go, aby odszedł i usiadł sobie spokojnie z książką w ręce tam, w swym obrazie.

Piękne chwile miewał we dnie, gdy słońce wglądało do jego komnatki.

Jednego razu, podczas takiego blasku dnia, weszła do jego pokoju dziewczyna z wianuszkiem czarnych włosów, w białej katance, z czerwonymi koralikami, jak sama żywa barwa.

Niosła pełną naręcz białych róż o bladożółtawym odcieniu.

Zbliżała się do niego cicho, uważnie, jak do kolebki śpiącego dziecka.

Była srebrzysto blada, a jej czarne, smutne oczy paliły się ogniem żalu i oczekiwania tego, co chwila przyszła przyniesie.

Gilbert wodził za nią wzrokiem z pod opuszczonych powiek i oczekiwał jej, jak cudu, który uzdrawia.

Stanęła przy nim, położyła ziołowo-białe róże na białą kołdrę, dotknęła jego czoła, i usiadłszy przy jego łóżku, pogłaskała go po ręce, pytając:

— Poznaje mnie ksiądz?

Szukał słowa, którem mógłby jej odpowiedzieć, nie mógł go znaleźć, ale nacisnęło mu się na usta inne, nie mające żadnego związku z obecną chwilą i rzekł:

— Srebrna woda!...

Wiedział, że powiedział coś innego, ale

w jego zbolałym mózgu słowa nie znajdowały się jeszcze na właściwem miejscu.

— Biedactwo! — szepnęła Jadwiga. — Mnie dał szczęście, a swoje zaprzepaścił!

Zanurzyła jego twarz między białe róże, między chłodne białe róże, aby uczuł ich delikatną płeć i woń, poczem ułożyła je ładnie w zielonawym kielichu. Naraz znalazło się słowo na właściwem miejscu, mógł rzec:

— Dziękuję.

Nic więcej nie pamiętał.

Uśmiechał się, jak dziecię,—i rzeczywiście był już dzieckiem.

Zmęczył go wysiłek, z jakim znalazł swe słowo. Zamknął oczy i czuł piękno—tylko jako słabość, jako chorobę, jako przeczulenie; to piękno, które wypełniało jego pokój, było mu tak blizkiem,—które pachniało białemi różami i dotykało jego słuchu łagodnie pełnemi tkliwości słowy.

— Bracie mój, przyjacielu, — mówiła Jadwiga — słyszysz mnie? Przyszłam ci podziękować, pożegnać się z tobą, powiedzieć ci, żeś mi się dał napić z krynicy szczęścia, żeś mnie wyswobodził od wszystkiego złego. Mogę odjechać, wolno mi wyjść za mego kochanka, wolno mi odejść z nim w świat

daleki! Nie będę już rozwieszała wieńców na chałupce wśród łąk, nie będę już rozświecała na niej wieczorem lampionków. Ostatni raz ozdobiłam ją dziś łańcuchami z jarzębiny, młodej, blado-czerwonej jarzębiny, sznurami bladych korali na cześć przyjazdu mego chłopca. Będę już zdobiła tylko jego białe łodzie, będę sławiła ich zwycięstwa. Myśl o mnie, gdy popłynę przez morze, będę tam, gdzieś na brzegach Indyi, na twoją pamiątkę rozświecała lampionki, będę śpiewała piosenki tak gorąco, że je usłyszysz wszędzie, gdzie tylko będziesz. Słyszysz, piosenki dziękczynne...

Gilbert chłonął jej słowa jak muzykę, ale nie mógł ich ani uporządkować, jak należało, ani odpowiedzieć na nie.

Jadwiga odeszła.

Zostały po niej tylko białe róże i słońce, woń i blask.

Była to najjaśniejsza chwila.

Choroba trwała dalej, trawiła ciało i duszę, tworzyła sny.

Bywały chwile, w których pokój aż po strop pełen był róż, a kiedyindziej znów były to tylko krążące po nim obłoki róż...

Kardynał siadał daleko za niemi. Nie mógł zejść z obrazu, musiałby się przedzie-

rać przez róże i ciernie, podrzeć brabanckie koronki na swej rokiecie i drogocenne „reticelle“ na swej albie, ale poprzez wszystkie obłąki przenikało jego bystre, ciekawe spojrzenie, oczekujące, zda się, jak się to wszystko skończy, a czerwień jego szatańskiego płaszcza płonęła fioletowo...

XVI.

Gdy Gilbertowi dozwolono pierwszy raz wstać z łóżka, lato było już w całej pełni.

Był osłabiony i wciąż miał dreszcze.

Nie mógł sobie przypomnieć nic z minionego życia, niczego tego, co przeżył.

Zwolna wracały fizyczne siły, umysłowe jeszcze wolniej.

Jednego dnia przyniósł mu lekarz wiadomość:

— Mamy dziś wesele. Leśniczowie wydają Jadwigę za bratanka marynarza.

Gilbert drgnął, zaczerwienił się, posmutniał, ale wkrótce zapanował nad sobą i roześmiał się pustym, sztucznym uśmiechem.

W pamięci jego rozbłysnęło coś naraz białem światłem.

Uświadomił sobie ściśle wszystko, co przeżył.

Począł przypominać sobie zapomniane twarze ludzi.

Przypominał sobie wszystkie drobne zdarzenia i ważne wypadki, które czas i choroba oddaliły aż ku granicom obojętności.

Nie chciało mu się wracać znowu do życia.

Piękna, czysta jakaś groza, wytworzona przez ciszę, samotność i tęsknotę, legła mu na duszy białym, srebrnym obłokiem. Jakaś groza podpowiedzianej, świętej tajemnicy, piękna duchowego.

Bał się o nią, ochronił ją przed zetknięciem się z światem, przed spotkaniem z ludźmi, jakby ich tchnienie mogło ją rozprószyć, odegnać bezpowrotnie.

I rozbolało go serce gdy wchodził w przyczynę tej obawy.

— Balbym się, gdybym ich kochał? — pytał sam siebie.

Czuł, że zamało ich kochał, lub nawet nie kochał wcale, czuł jednak zarazem, że chętnie ogarnąłby ich swą miłością, pokorną i piękną, gdyby jej potrzebowali, gdyby ją przyjęli.

— Tak! — rozjaśnił swe serce. — Jak-

bym ja ich kochał, gdyby mi byli poprostu uwierzyli, gdyby nie byli tak pełni podejrzliwości i nieprzyjaźni, pełni złych, przygnębiających namiętności! Byłbym swe serce wszystkim jako podnóżek podsunął! Nie mam nic, prócz miłości, nie jestem niczem innem, jak tylko miłością. Komuż mam ją oddać?— mówił do siebie i temi zdaniami tworzył swój nowy stosunek do świata.

— Pójdę do ludzi! — rzekł sobie z radością i wyszedł.

Szedł przez las szeroką ścieżką, która lśniła po deszczach jak szara, jedwabna wstęga; niby sklepienie wznosiła się nad nią lekka mgła.

Naprzeciw niego szedł Horzky; witał go już z daleka. W kieszeni miał fotografię swej żony. Zaczął odrazu narzekać, jakby choroba Gilberta nie tworzyła żadnej przerwy.

— Proszę księdza jegomości, mnie należała się inna żona. Tak szlachetna, jak ja sam. Zbłądziłem, wiem, żem zbłądził. Ale Bóg na niebiosach karze mnie, mówię, mam tu na ziemi swój czyściec. A ja, no, księdzu jegomości, proszę księdza, mogę to powiedzieć, wszystko, jako duchowemu doradcy mogę powiedzieć; ja byłem zawsze nie-

szczęśliwy. Kiedy byłem wachmistrzem jeszcze w Dobrzychowicach, ksiądz jegomość wie, gdzie to jest, jeździła tam na letnie mieszkanie córka strasznie bogatego doktora, naprawdę piękna panna. I zakochała się we mnie. Ale ja byłem taki szlachetny, że sam jej wytłumaczyłem, że to niemożliwe i podałem prośbę o przeniesienie.

Gilbert mówił:

— Nie może pan jeszcze o tem zapomnieć? Nie chciałby pan porozmawiać o czem innem? Jestem jeszcze osłabiony, ale służę panu. Chodźmy, pomówmy o czem innem. Niech pan odpędzi od siebie te dawne stare wspomnienia.

Horzky spojrzał na Gilberta podejrzliwie, jakby myślał, że on majaczy.

— Ach, proszę księdza jegomości, każdy mówi o tem, co go zajmuje. Powiem to już księdzu jegomości do końca.

Uderzył się w piersi i ciągnął dalej:

— Głupiec był ze mnie. Mógłbym był zostać bogaczem! Ja ją unieszczęśliwiłem! Rozumie się, rodzice nie odrazu byliby dali swe pozwolenie. Ale przecie; — a ja sam się jej wyrzekłem! A jakie pieniądze! Mieli willę, w Pradze kilka domów! No jakże! Adwokat! Ale to już na zawsze tak; wszyst-

ko mnie u samego celu zawiedzie! Wszystko to już powiem, ojcze duchowny, wszystko! Jak się co stało, szczegółowo! Pocóż mam taić, dlaczego zrezygnowałem ze służby. Powiem już, wszystko dokładnie powiem.

Gilbert pomyślał, że zacznie znowu mówić o żonie, boć twierdził dawniej, że ona była przyczyną wszystkiego złego. Stało się jednak inaczej.

— Jak mi ta moja żona nieszczęsna uciekła — zaczął Horzky — pojechałem na urlop, ku Pilznu, do jednej wsi. Był tam nauczyciel, godny człowiek, miał już trzecią żonę. Ale kochali się, jak dzieci. Zazdrościłem im, doprawdy, żem im zazdrościł. A ta pani miała siostrę. Mogę powiedzieć—z porządnej rodziny. Jak ojciec był także wachmistrzem. Ta siostra była wdowa, jej nieboszczyk mąż służył także przy żandarmeryi.

A jak tak opowiadałem raz, co mi się właśnie zdarzyło, a ból mój był jeszcze świeży, ten pan mówi do mnie cicho: — Ale moja szwagrowa to ładna kobieta, umie dobrze gotować i ma tam też coś swego!

I ja zrozumiałem! Przyrzekł mi, że nas zapozna. Zeszliśmy się wszyscy w le-

sie na drugi dzień. Prawda, była to ładna pani. Pan szwagier dał mi znak, że możemy razem oddalić się.

Usłuchałem. Powiedziała mi, że mój ból już zna, że jej szwagier wszystko powiedział i że gotowa iść za gospodynię. Błogo mi się zrobiło. „Przecie się jeszcze do mnie szczęście uśmiechnie"—myślałem. Ale proszę tylko pomyśleć, proszę księdza jegomości! — zawołał Herzky i, zauważywszy jego przelęknione spojrzenie, dodał: — Proszę sobie wyobrazić, rok, cały rok mi to obiecywała. Ja jej wierzyłem, na słowo wierzyłem, ale ona wciąż jakieś wykręty,—że jak wystąpię z żandarmeryi, to przyjdzie do mnie napewno, dlatego, że konkubinat przy żandarmeryi jest niedozwolony. I proszę, ja dla niej wystąpiłem ze służby, zaraz podanie o dymisyę podałem, chociaż miałem jeszcze tylko pięć miesięcy do wysłużenia większej pensyi, a ona, proszę (Horzky stanął), odmówiła mi: — że sobie to niby rozmyśliła.

Oczy Horzkiego znowu były zalane wodnistemi łzami, jak ziemia deszczem przesiąknięta.

— A przecie — zaczął Gilbert i urwał — ja sądziłem...—rzekł po chwili, ale nie skończył swej myśli.

Lasy chmurnie szumiały wśród prześcigującego się wiatru, dziwnie wypełniając ciszę, jaka zapanowała po przykrej rozmowie.

Gilbert myślał, zastanawiając się nad tem, czy powiedzieć to, co wywołało jego ostatnią uwagę.

— Chciałem powiedzieć—wykrztusił wreszcie — tak, chciałem powiedzieć, że nie tego się po panu spodziewałem! Sądziłem, że pan cierpi nad stratą żony ukochanej, jedynej, drugiej żony, darowanej panu przez opatrzność. Jakżeż pan mógł w miesiąc później myśleć już o drugiej! Ja, ja, gdybym był na pańskiem miejscu, szukałbym był tego, coby mogło podnieść i rozradować jej duszę, szukałbym w niej obrazu piękna bożego, którem przecież każdy z nas jest obdarzony, które w każdym choć małą iskierką płonie; jeśli chcemy—możemy tę iskierkę rozdmuchać w wieczny żar świętości i spoić się w ten sposób pracą i dobrymi postępkami ze wszystkimi najlepszymi, którzy żyli i walczyli przed nami, i którzy będą żyli i bojowali po nas, głównie zaś byłbym sobie ją wysoko cenił.

— Ależ proszę księdza jegomości — zawołał z płaczem Horzky — przecie ja za

tych 10 lat nie dostałem od swej żony nawet całusa bez przymuszenia!

— Nie rozumie mnie; nie rozumie! — szeptał do siebie Gilbert wzruszony.

Horzky odwrócił się naraz ze złością.

— Ksiądz!—huknął złośliwie.—Jak może któregoś z nas zrozumieć k s i ą d z! A do tego jeszcze ksiądz, któremu choroba w głowie przewróciła!

Rozeszli się bez żadnego dla siebie pożytku.

— Nie można tak żyć! — myślał Gilbert, chodząc po lesie i słuchając jego szumu. — Nikt mnie nie potrzebuje a i dla siebie samego nie mogę być pożytecznym!

Nie znał nieszczęścia swego serca. Nie wiedział, że cierpi, że zmiera z tęsknoty za namiętnym stosunkiem do świata, do ludzi, do kamieni i traw, za stosunkiem, którego on, ksiądz, w tej gminie nigdy nie będzie mógł wytworzyć. W nieskrystalizowanych jeszcze kształtach odzywało się w jego sercu dawne pragnienie wejścia w ogrody Edenu, lub śmierci na brzegu morskim, gdzie zaniósłby wyczekującym posłannictwo świętej myśli.

XVII.

Wracał do domu gościńcem przez las.

Zanim zbliżył się ku skrętowi drogi, przygotował sobie jałmużnę; w tem miejscu siadywała zwykle, jeszcze przed jego chorobą, stara Lida, oczekując kompanii, idących z południowych Czech na Świętą górę, staruszka z opuchłymi od artretyzmu stawami.

Ale gdy doszedł do zakrętu drogi, Lidy nie zastał.

W cieniu młodego, świerkowego lasu siedziała stara kobieta ze starym mężczyzną.

Miała koszyczek na ręce.

Gilbert z daleka myślał, że to zapewne przyszła z obiadem żona któregoś z węglarzy, którzy tu palili węgiel.

Przyszedłszy bliżej, ujrzał, że mężczyzna jest zbyt stary, i że w koszyku niema ani obiadu ani naczynia.

— Po prośbie? — spytał, przyszedłszy do innego przekonania. Na tym zakręcie zwykle siadali żebracy.

Staruszka potwierdziła.

Starzec podniósł głowę i zdjął czapkę.

Głowa jego była szeroka, wypukła, o wylysiałem ciemieniu; wysokie czoło zryły głębokie zmarszczki; oczy pokrywały zapadłe, przylegające powieki.

Twarz jego była smutna i surowa.

Gilbert wsunął przygotowaną dla Lidy jałmużnę w jego otwartą dłoń.

— Bóg zapłać! — rzekł starzec chłodno, bez cienia hipokryzyi, tak, jakby dziękował za zapłatę a nie za jałmużnę.

— On nawet nie ukląkł! — mówiła żywo staruszka śmiejąc się cienkiemi wargami. (Gilbert spojrzał przytem na kolana jego spodni; miał na nich niby poduszeczki, grube podszycie z kawałków najróżniejszych materyi). Ale ja mu nie powiedziałam. Myślałam, że ksiądz tutejszy, że i tak nic nie da! Przyjdzie ta procesya. Czekamy tu na nią, zawsze w ten dzień tu chodzi. Niemcy przyjdą!

— On nic nie widzi? — spytał Gilbert.

— Nic. Prawie od narodzenia. Tylko sześć niedziel widział. Matka go pokazywała. Głupia była. Nie powinno się dzieci pokazywać. Dlatego oślepł.

— A dlaczego mówicie, że wam tutejsi nic nie dają?

— Nie dają!—odpowiedział ślepiec z przekonaniem. — Umarł wikaryusz. Naumyślnie poszedłem na pogrzeb. Przyszli panowie z całej okolicy. Myślałem sobie, Bóg wie co nazbieram! — ciągnął dalej. — Klęknąłem przy furtce cmentarnej. Wszyscy ci wielcy panowie przeszli koło mnie a wszystkiego dostałem ledwo krajcar, a i to od żyda, który szedł na samym końcu. Tylko ten mi dał.

— Skądeście? — spytał ich Gilbert.

— Nu, tam, z górnej wsi, z Manietyna. Teraz tu poczekamy a potem także pomalutku powleczemy się! — mówiła staruszka.

— Dokąd idziecie?

— Na Świętą Górę!

— Jak długo tam będziecie szli? — spytał ze zdziwieniem Gilbert, nie pojmując, jak tam może dojść tych dwoje staruszków, zwłaszcza, jeśli on jest ślepy.

— A idziemy — mówiła staruszka — póki nie dojdziemy! Kilka dni! Nic nam przecie nie ucieknie, my — to się nigdy nie spóźnimy. Prowadzę go pomalutku, nie zgonię go bardzo.

Staruszka była czupurna. Mówiła szybko i wesoło. Miała małą główkę i jasne oczy, jak ludzie, których wszystkie dni przyszłe są jasne i zrozumiałe.

— Ileż dni idziecie?

— Trzy, cztery. Jak się zdarzy! — odpowiedziała. — Nocujemy w gospodach. Ale czysto, w izbie, my w stajniach nie śpiemy.

Starzec pokiwał pochyloną głową, po której, gdy nawet nie widać było oczu, można było poznać, że słucha, ale nie przygląda się.

— Męczy was to, że nie widzicie? — spytał Gilbert.

Starzec pokiwał przecząco głową.

— Chętnie to znoszę — mówił monotonnym głosem — bom nic innego nie zaznał. Spotkałem raz leśnego, który widział do 27 roku życia, a gdy naraz stracił wzrok, tak o Bogu zapomniał, że ani nawet własna jego żona nie mogła znosić, jak zaczął przeklinać. Święte obrazy tłukł i krzyczał w niebo: Ty, za coś mnie tak pokarał! — Zawsze mówię, ciężko znosić cierpliwie temu, kto trzy tygodnie jadł, a czwarty — głód cierpi, a łatwo temu, kto nigdy zbytku nie miał. A znałem jednego księdza, który dopiero na starość oślepł. A mawiał: Bóg zlitował się nade mną. Kto ma oczy, widzi dokoła siebie, kto ten ziemski wzrok stracił, w siebie patrzy. Tak teraz więcej widzę, niż dawniej widywałem, i inne rzeczy!

— A choćby nawet! — przerwała mu staruszka. — A przecie mi go żal. Wiosna nadejdzie, słonko się rozraduje, drzewa rozkwitną, a on z tego nic nie ma. W zimie śnieg spadnie, wszystko białe, szron połyskuje, a on tego nie widzi. Chodzimy na odpusty z miejsca na miejsce. W święto przychodzą na Św. Górę procesye, niosą wieńce i chorągwie, księża cali w złocie, wszędzie tak pięknie a odświętnie, a on tego nie widzi. A jak tak nieraz rozmyślam, jak się to dzieje, to mi z żalu nad nim z oczu łzy kapią!

Starzec zamruczał coś.

— Jeszcze nim siano siekli, szliśmy przez łąki. Kwiatów wszędzie było pełno. — Józefie! — powiadam — nie gniewajcie się, nazrywam wam kwiatów, i nauczę was, jak który wygląda. — I tak dawałam mu jedną po drugiej, a on, jak je drugi raz wziął w ręce, zaraz poznał. — To je wole oczko — powiada — a to kaczyniec! — i wszystko poznał.

— To ona zawsze takie głupstwa!— bronił się starzec, mrucząc, ale bez złości.

— Ile macie?

— Ośmdziesiąt jeden.

— Może jeszcze na starość przejrzycie!— starał się pocieszyć go Gilbert.

Starzec machnął ręką.

— Ja tam już przed śmiercią o to nie dbam! Żebym ino przejrzał... tam... tam... po śmierci. Ona mi w zimie czyta w świętych książkach — mówił starzec, wskazując na swoją towarzyszkę. — Mam dobrą głowę. Wszystko pamiętam, a tam stoi, jak Pan Bóg chromych i ślepych uzdrawiał. Błogosławieni, którzy dziś płaczecie, albowiem śmiać się będziecie: A tak to będzie i ze mną.

Staruszka musiała się pochlubić.

— Czytam mu, prawda, chodzę na farę do Ouholiczek po książki, przeczytałam mu już wszystkie i znowu musieliśmy zacząć od początku. On by chciał, żebym wciąż czytała. A to przecie nie zawsze można. Muszę ugotować, wyprać; ja go utrzymuję w wielkiej czystości! (I rzeczywiście jego chustka na szyi i koszula były bardzo czyste). — Muszę przecie upiec placek na drogę, ubranie naprawić! Najwięcej drze—to na kolanach od klęczenia. Ja nie chcę, żeby sobie je odgniatał. Szyję mu takie poduszeczki. A jak szyję, to on znowu bawi się z kocurem. Mamy takiego czarnego. Ale

kocur nie ma rozumu. Jak tylko się nażre, hops, już go niema. A tego on nie lubi. Prawda, Józefie?

— Wy nie jesteście jego żoną, jak widzę, mówicie mu „wy"?

— A nie jestem! — bez zakłopotania odpowiedziała staruszka. — Ja u niego tylko tak jestem, doglądam go, będzie już 15 lat. Jestem wdowa, dzieci mi pomarły, męża skała mi zabiła. On nie był nigdy żonaty. (Wskazała na ślepca). Nie miał pieniędzy. To nie idzie! A bez kobiety żyć nie może. Ta pierwsza była u niego trzydzieści pięć lat. Dobrze koło niego chodziła, porządna była. Ale jak umarła, byłby zginął. Ja nie miałam nikogo na świecie, on także nie. Tak już ja koło niego się krzątam, sprzątam i po odpustach prowadzę. Modlimy się i prosimy o jałmużnę. Ale jak gdzie jest wielki gwałt — to my tam niechodzimy! Nas wszędzie już znają. Namęczymy się. Kto sprawiedliwie chce dać, da!

Gilbert chciwie słuchał jej słów.

— Kiedy wrócicie? Przyjdę do was! — mówił.

— Tak za tydzień. Ale żebym to naprzód wiedziała, abym mogła wybielić! — przelękła się staruszka.

Gilbert roześmiał się.

— Ach, nie, nie potrzeba, wpadnę kiedykolwiek.

Pożegnał ich. Po drodze chciał o nich myśleć. W piersiach wzbierało mu jakieś nowe, radosne uczucie, ale tak ciężkie, że sam go nie rozumiał.

Przyszło mu na myśl, jak starzec mówił o innych ślepcach, a jak mówił Horzky o mężach, ktorych opuściły żony.

— Piętnaście lat krząta się koło niego, ślepego żebraka... i nie uciekła od niego. A ta pierwsza krzątała się koło niego trzydzieści pięć lat... aż do śmierci... Troszczyły się o niego, zgryźliwego, nieszczęśliwego człowieka... tak, i nie opuściły go, żebraka— powtarzał sobie uparcie i przypomniał sobie żonę chorego nauczyciela i żonę Horzkiego. (O nauczycielu powiedział mu lekarz, że jest to rzeczywiście choroba drobnej wagi i wzmaga się tylko dzięki słabości duchowej). Czy może te żebraki są istotnie nieszczęśliwe? Ale czemu to nie mówili o swem nieszczęściu? I że chory, ślepy starzec był pierwszym, który nie narzekał na swą dolę! Czy dlatego, że był bez winy, że nie mógł się zbuntować i że w jego duszy nie było wyrzutów?

I nie rozumiał.

Ale radosne uczucie nie znikało.

Serce jego zwierało się jakby w jakiemś przeczuciu trwogą, ale dziś już—radosną. Umilknęły stronice w księdze jego dumania. Jakby jakaś silna ręka oparła się o nie; księga została otwartą tam, gdzie napisano jakieś głębokie porównanie, którego myśli jeszcze nie zrozumiał.

Ale on ani oczu ani serca nie odwracał od tej stronicy, która na dwie części dzieliła jego księgę, bo wszystko, co zawierały dalsze stronice, w niej miały swe źródło.

XVIII.

Wypytywał wszystkich, kogo tylko spotkał, o ślepca. Nikt go nie znał.

— Jakżeż?—pytał się.—O wszystkich wiedzieli, zanim jeszcze o nich zapytałem, wszystkich znają i znali, tylko o nich nikt nie wie! Czy dlatego, że to żebracy? A tak, człowiek biedny jest zawsze sam. Jego świat nie ma granic — mówił do siebie zadumany Gilbert. — Temu, który nigdy niczego się niespodziewał i pyłek najmniejszy może sprawić niespodziankę!—I powtórzył:— Ciężko temu, kto przez trzy tygodnie jadł,

a czwartego nie miał co do ust włożyć, a łatwo temu, kto nigdy zbytku nie miał.

I znowu dumał o małżeństwie. Przypominał sobie swoje trochę lekkomyślne słowa, jakie rzekł Horzkiemu.

— Dobrze, te kobiety nie żyły dla mężów, lecz dla nieszczęścia! — myślał o opiekunkach ślepego. — Ono było ich wyższem posłannictwem. Nie sam mąż; ale sama ślepota domagała się ich ofiary i ich wysiłków. Spełniło się ich przeznaczenie. Ta jasna iskierka jakiegoś dobra w ich duszy miała przyczynę, dla której mogła rozgorzeć! Każdemu ciężko żyć z drugim, tylko ślepcom łatwo żyć między ludźmi w swej samotności. Ale dlaczego? Dlaczego obojgu tak łatwo? Ona może być szczęśliwą, bo się poświęca, jakżeż jemu, jemu, w jego nieszczęściu, o którem nawet nie wiedział?

Bezustannie myślał o ślepcu i jego opiekunce, każde inne wspomnienie sprawiało mu przykrość.

Po tygodniu postanowił ich odwiedzić.

Wyszedł z domu rano i ruszył krótszą drogą przez las.

Mchy nasiąkłe wodą po deszczu wybladły.

Powietrze było suche i ciepłe.

Gilbert wyszedł z lasu tuż pod Mametynem.

Wieś leżała na wysokiem zboczu górskiem. Cicho w niej było. Ludzie byli w polu. Po kamienistej drodze między sadami chodziły stada niedawno oskubanych gęsi; z krzykiem rzuciły się na niego.

Czarny pies ze śpiczastym pyskiem wybiegł za nim i długo szczekał chrapliwym, rozzłoszczonym basem.

Ze zbocza roztaczał się widok na dolinę i przeciwległe stoki górskie.

W skrzepłej jednostajności rozlewały się tam ciemne świerkowe lasy.

Pod nimi rozkładały się naokoło klasztoru białe domki wiejskie o ostro zakończonych dachach. Lekkie obłoczki płynęły po niebie, a dolinę napełniała jakby jakaś przezroczysta, modrawa mgła poranna. Spinające się po niebie słońce ostro prażyło wyschłą drogę wiejską.

Za Gilbertem biegło trzech małych uczniów śpieszących do szkoły. Zaczekał na nich. Spytał ich, gdzie mieszka ślepy.

Zaprowadzili go na koniec wsi, ku drewnianej, czysto umytej chałupie.

Przez otwartą furtkę wszedł na podwórze.

W chałupie było cicho, otwarta obórka była pusta. Na przyzbie leżał wywrócony kosz pełen trawy.

Z poza płotu wychylał się krzak dzikiej róży.

Za chałupą wznosiły się na wysokim krzaku ciemne gałązki czarnego bzu.

Popielaty cień wysterczającej strzechy padał na nasyp.

Gilbert wstąpił po dwóch schodkach.

Drzwi chałupy były otwarte. Chciał wejść, ale stanął w progu. Z małej sionki prowadziło troje drzwi. Do dwóch izb i na strych.

Na drewnianych schodkach siedziała staruszka oparta o laskę i spała. Miała na sobie pstrokatą, rozwartą na piersiach katankę i podwiązaną, długą koszulę, na nogach pantofle.

Pochyliła głowę. Przez białe jak mleko włosy widać było koło rozdziału wąską łysinkę.

Nie słyszała go. W domku nic się nie ruszyło. Gilbert przeszedł nasyp. Staruszka zbudziła się i podniosła twarz koloru sera z czarnemi, nabiegłemi plamami.

— Aa! — rzekła, ocknąwszy się, jakby pytała w ten sposób: — Któż to taki?

— Aa, mój ojcze miły! — westchnęła — Czegóż to tu szukacie, tatusiu? — spytała go. Myślała, że to jaki handlarz.

— A niczego. Tak sobie — rzekł.

— Jak to—niczego! Tak sobie?

— Przyjechałem z Pragi. Wstąpiłem tu tak sobie. Do Hlawina. Jest w domu?

— W domu? Niema go w domu. A wyście z miasta? My mamy córkę w mieście. Lukesz. Tak się on nazywa, jej mąż. W Pradze. Pewnie go znacie. Nikogo innego tam nie ma, rozumie się.

— Babuniu, Praga jest wielka, tam się ludzie nie znają. Kto wie, gdzie on mieszka!

— Tam! — ukazała staruszka sinawą ręką przed siebie. — Na końcu. Na końcu Pragi.

— Jakiem rzemiosłem się trudni? — spytał Gilbert, nie chcąc jej sprawić przykrości.

— Jakiem? No, w Pradze jest to rzemiosło. Wy to pewnie lepiej odemnie wiecie, tatusiu złoty. Łatwo się dopytać. Lukesz! Innego tam niema... A ona nazywa się Teresa! Samego czynszu płaci 120 złotych! Tylko się tam spytajcie! Każdy wam powie!

— Babciu, wiecie co to tysiąc?

— Tysiąc? Nie wiem!

— Tysiąc złotych, wiecie?

— Ale, nie wiem. Ja się nie uczyłam rachować.

— Chciałem wam powiedzieć, ile ludzi jest w Pradze.

— Wszystko jedno tatuniu, nacóż mi to wiedzieć!

— A ile lat macie, wiecie?

— Powiem wam, tylko się nie śmiejcie!— rzekła surowo. — Mam cztery razy po dwadzieścia lat i jeszcze dziewięć do tego. Tak, mój złoty tatuniu!

— Mieszkacie u córki?

— U córki! Jako że niby ona tu gospodyni! Grabi dziś u Wojtów na łące. Ma tam zasadzone ziemniaki, musi pomagać! Tak, tak, drogi ojcze, tatusiu mój! Niejedno-m ja zniosła! Naharowałam się dość! Siągi robiliśmy z ojcem od dziewiątego roku życia i „Pod kapeluszem“ i koło „Czarnego Krzyża!“

Staruszka wyglądająca, jak stulecie, umilknęła. Myśl jej odleciała w lata młodości, najjaśniejsze dziś w jej starczej pamięci.

— Dokąd poszli Hlawinowie?

Staruszka ocknęła się, jak z omdlenia.

— Na Świętą Górę — zawołała z wahaniem. — Uczcić Pana Jezusa! Szła tędy

kompania. Dużo ludzi było. Przechodzili tędy. A ona, to porządna kobieta. Ma piękną izbę. Czysto. Ściany wybielone, poduszki i ubranie mają po nieboszczce. Nazywała się Horowa. Była z nimi tam gdzieś pod Żdżakowem. Wrócił tu po jej śmierci.

— Ale przecież chyba wrócili już z pielgrzymki! — rzekł z uczuciem zawodu Gilbert, któremu żal było, że tak daleko szedł napróżno. Z pełnego kielicha chciał pić pociechę i radość, jaką mu przyniosło owo spotkanie, a teraz stał przed zamkniętemi drzwiami.

— A przyszli! — odpowiedziała staruszka. — Przedwczoraj. Wczoraj go oczyściła, upiekła placek i pozwoliła mu wypocząć. A dziś raniutko wstała, wyszła na łąki, nazbierać ładnych kwiatów trochę i uwiła piękny wieniec dla Jezuska. Jako, że tam idą z tą ofiarą — mówiła — że tam ten wieniec zawieszą.

— A kiedy wrócą?

— Tego, prawdę mówiąc, nie wiem. O rannej rosie wyszli. Idą pomału. A i drogę mają przed sobą dłuższą, niż zwykle.

— Jakto?

— Ano tak. Raz szli z tamtej strony! (Staruszka zakreśliła ręką w powietrzu pół-

kole w kierunku zachodu). Ale teraz idą tak! (zakreśliła półkole ku wschodowi). Teraz idą drugą drogą, aby tam tę ofiarę spełnili... Wieniec nieśli piękny — napół szeptem dodała staruszka, spoglądając na księdza, a jakby ją to wszystko zmęczyło, nizko pochyliła białą głowę.

Gilbert odchodził zwolna, jak we śnie.

Wszystko, co słyszał o Hlawinach od staruszki, rzecz samą i sposób, jakim opowiadała, wszystko to zrobiło na nim silne wrażenie i zmusiło go do zastanowienia się nad niemą siłą ich wiary.

I jaśniej, niż spotkanie z nimi, wytłómaczyło mu to ową niejasność trudnego porównania.

W niemałym stopniu przyczyniła się do tego jasna, niezmącona myśl staruszki, wierzącej w to, że każdy człowiek zna w Pradze jej wnuka, Lukesza, mieszkającego na końcu Pragi i płacącego sto dwadzieścia złotych rocznie samego czynszu, to jej naiwne zapatrywanie wprost puchowej lekkości.

Nagła zmiana zaszła w jego sposobie myślenia. Nadeszła ta jasna chwila, której nieraz daremnie się szuka, a która niespodzianie przychodzi nieraz i po długich za-

wodach, wszystko czyniąc zrozumiałem, a nawet i mgły dawno minione rozjaśniając swem światłem.

Nie był wprawdzie w stanie powiedzieć sam sobie, w czem, w którem zdaniu jest owo wytłómaczenie, ale zrozumiał jasno, że wielkość można znaleźć tylko wśród rzeczy małych, a jedynie doniosłe wśród nic nie znaczącego.

Widział teraz swych staruszków, jak wloką się gdzieś po górach wśród skwaru południa, widział, jak idą wolno, radośnie dźwigając wieniec z polnych kwiatów.

A owa wiara ich w doniosłość nowej, trudniejszej i wprost w przeciwnym kierunku nakreślonej drogi, koniecznej do spełnienia ślubowanej ofiary, uderzyła go, jako rzecz szczególnie piękna i wielka.

I szedł wraz z nimi w duchu przez lasy ową dłuższą drogą. Do domu szedł jak we śnie.

Kroczył skrajem świerkowego lasu, odpoczywał chwilami na ściętych pniach i śnił na jawie! Myśli jego płynęły lekko i cicho, jak bukiety rzucone na prąd rzeczny. Wszystko było jasne, łatwo budziło się w nim i rwało.

Było mu słodko i rzewnie.

— Wszyscy ci, którzy cierpią, żyją dla siebie; ale starcy żyją tylko Bogiem a dlatego i nieszczęścia łatwo znoszą. — Powiedział sobie i uwierzył w to przekonanie.

Kogo tylko wspomniał, widział go tonącego i grzęznącego w miłości własnej; ale podniesiona do tej potęgi miłość własna przestawała być oporą, stając się przeciwnie żywiołem, który niszczył wszelką radość z małych darów życia.

Znał tedy przyczynę cierpienia.

Siedział na kraju lasu.

Las spał, ledwo dysząc wśród ciszy południa. Ani jedna gałązka nie drgnęła. Chram milczący, jak stalaktytowa jaskinia, śnił zmęczony wczorajszymi wichrami i deszczami i słodko zamyślony.

Odświeżone, soczyste żabińce, trawy i szczawie zieleniły się jasno na ścieżkach leśnych.

Jedyna gałązka drgnęła naraz, rozkołysała się i jak dziecko zaszeptała coś markotnie.

A Gilbert znowu przypomniał sobie pielgrzymkę żebraków i ujrzał ich kroczących zwolna przez lasy ku cudowi swej dokonanej ofiary.

Było mu tak, jak gdyby sam wił wieniec

swych tęsknot, jakgdyby o rosie musiał wyjść z nim gdzieś w dal...

I naraz znalazł słowo swego szczęścia. *Bezimienny*! Bezimienny żebrak. Istota pozbawiona wszelkiego związku ze światem. Człowiek najszczęśliwszy!

Odgadywał teraz ukryty sens wszech rzeczy, wszystko, cały świat stał się mu zrozumiałym.

Stać się bezimiennym, stać się jeszcze raz bezimiennym, w tem życiu, w którem już dano mu imię i miejsce. Stać sie bezimiennym i służyć bezimiennym — oto co było namiętną melodyą jego duszy.

Chodzić światem, *nie należeć do żadnego społeczeństwa*, służyć pątnikom, dążącym do świętych miejsc, do proroków piękna, dojść aż do brzegu morza, do wybrzeża, od którego odbijają wielkie okręty, wiozące przez głębokie wody marynarzy z ich żonami lub pielgrzymów...

Zrzucić z siebie jarzmo imienia, stanowiska, powołania, ambicyi, walki i nienawiści.

Przestać gniewać Boga komedyą, którąby musiał grać wraz z ludźmi, nie potrzebować przemyśliwać cały dzień o tem, jakby ludzi nie obrazić, ale módz mówić z ludźmi poprostu, aby nie było kłamstwa między nimi.

— Boże, Boże, nie opuszczaj mnie, daj mi pędzić proste życie! — modlił się gorąco — Daj mi stworzyć sobie nie życie bojownika lub kłamcy, ale prostaczka, który wszystkiemi, ku sobie prowadzącemi drogami, mógłby ponieść swój wieniec ku większej chwale Twojej.

Wzniosła zgroza zmieniła się w bujną radość, w radość, której nie mógł pomieścić w piersiach.

— Jakżem rad, jak rad! — powtarzał sobie po drodze do domu, uśmiechając się do każdego, kogo spotkał.

— Po szczęście i ukojenie wyszedłem!

XIX.

Następne dni spędził Gilbert w kościele, na chórze. Klęczał ze spuszczoną na piersi głową, z palcami spiętymi na ciemieniu i zanurzonymi w miękkie włosy.

Wielu widziało go tak klęczącego i potrząsającego złożonemi rękami, jak gdyby chciał zniszczyć wszelkie wątpliwości i wszelkie wahanie.

— Choroba w głowie mu pomieszała — mówili o nim wierni prawie głośno i przy-

glądali się z blizka jego delikatnym, długim, cierpienie zdradzającym palcom, starając się daremnie spojrzeć i w twarz, głęboko na piersi schyloną.

Jednego wieczoru wrócił cicho do swej klasztornej komnatki, związał w węzełek garstkę uschłych białych róż, krzyżyk swej matki i wziął w ręce pątnicką laskę.

Kardynał chmurzył się, ściągnął swe wązkie wargi, ale Gilbert uśmiechnął się doń przyjaźnie i żal mu się go zrobiło.

Bolała go jakoś jego bezsilność. Przyszedł mu na myśl ów obiad dla księży wydany.

— Nieszczęśliwi są synowie twoi — zrozumiej to, że oni są nieszczęśliwi. Nie dlaczego innego opowiadają sobie swe anegdoty, jak tylko dlatego, aby w ten sposób nakryli swe nieszczęście. Wierz, tańczą nad nim, nad bólem swej doli, jak nad trupem — szukając zapomnienia! Nieszczęście zrobiło ich słabymi, nieczęście wyczerpało ich siły. Wierz mi, jest tylko jedna chwila, w której można opamiętać się, wyjść i nie poddać się ich nieszczęściu. Mogliby opamiętać się lub zostać świętymi. Ale czyż mogą zjawić się święci w dzisiejszych czasach, gdy doba obecności Bożej na ziemi jest tak oddalona, gdy Bóg przestał zstępo-

wać do nas, może dlatego, że wogóle nie jesteśmy jeszcze nędzni ową piękną nędzą, w której kiełkuje już tęsknota za obliczem Boga? A może tęsknota nasza nie jest jeszcze tak silną, aby Go mogła przyciągnąć? Wierz, ja sądzę, iż Bóg nie przychodzi tylko dlatego, że ludzie są nieszczęśliwi małem nieszczęściem, i że nie potrafiliby być nieszczęśliwymi wielkiem nieszczęściem.

Patrzył ciekawie na kardynała, przystąpił bliżej ku niemu, chcąc go lepiej widzieć.

Oczy kardynała zdały się być nabrzmiałe łzami, nigdy niewypłakanemi, łzami tysięcy lat, łzami tysiącletniego cierpienia.

— Nie płacz! — mówił Gilbert. — Na nikogo się nie gniewam, wszystkim, wszystkim na świecie odpuszczam, ale za ciebie, za twe łzy przeżyję jeden dzień, jeden piękny dzień czegoś, czego nigdy pod swym płaszczem czerwonym nie czułeś: dzień wielkiej radości.

Wyszedł cicho z domu, wstąpił do kapliczki św. Aleksego, człeka bożego, położył się obok niego na kwiatach, rozrzuconych tu przez pielgrzymów i nauczycielkę, spał aż do świtu, poczem wyruszył w drogę.

XX.

Szedł, jak mu to umierająca wskazała, dokąd go serce ciągnęło. Nie sprzeniewierzył mu się ani razu.

A serce ciągnęło go na południe, ku południowym wybrzeżom, ku jakiemuś końcowi tych miłych krain.

Zamienił ubranie z jakimś wędrownym tułaczem, który szedł w świat i zarazem z nim odbył część swej pielgrzymki.

Gdy mu wyszły pieniądze—zdecydował się prosić o chleb, ofiarując w zamian pomoc w pracy. Spełniwszy to, za co mu chleb darowano, szedł dalej.

Szedł drogą, podczas wielkich upałów sierpniowych krajem złotym dojrzałym, gdzie liście były spalone, a powietrze wonne, jak świeżo naparzona herbata, śpiewał sobie wesołe piosenki, modlił się radosnemi modlitwami.

Myśl jego słabła.

Mawiał:

— Ojcze mój, nie daj zaginąć głuptaskowi, który zawdzięcza ci szczęście i wolność.

Przeszedł jedną ziemię, wkroczył w granice drugiego kraju.

Kochał poranki i ucieszył się, ujrzawszy raz o świcie góry, z śniegiem pokrytemi wierzchołkami, ich białe, piękne skronie pod młodym, chłodnym błękitem porannym. Wszedł w góry, przeszedł ich dolinami i zrozumiał, że musi iść tam, dokąd śpieszą szalone, białe, obfite wody z lodowców. Przeszedł kraj dojrzewającego wina, pod górami „Różanego ogrodu". Był zmęczony i słaby. W mieście, którego targi pełne były dojrzałych brzoskwiń, odpoczął dwa dni. Nie potrzebował prosić o nocleg. Spał w dziedzińcu starego zamku pod gwiaździstym stropem ciepłej nocy.

Coraz jaśniejszem stawało mu się życie, choć nie wiedział, zkąd ten blask bije.

Zawsze kochał lasy. Szumiały mu tak radośnie i szeptały, że znają tajemnice świata bożego.

Nie mówiły mu wprawdzie nic o jej podstawie, ale serce jego pokrzepiała już ta sama świadomość, myśl o tem, że one same ją znają. Z każdym dniem więcej ponęt i wdzięków nabierała w jego oczach tajemnica życia, a czasami drżał na samą myśl o niej.

Przeszedłszy długą, nieurodzajną równinę, lasy piniowe i naniesione łachy piasku, dotarł jednego dnia brzegiem zarzuconym miliardami skorupek i muszli aż do samego morza.

Słyszał już zdala jego szum, a w miarę, jak się zbliżał ku niemu, czuł, że i ono, więcej nawet może, niż lasy, pełne jest owej wielkiej tajemnicy, lasy bowiem słyszą o niej tylko od wichrów, które przebiegły przez wielkie wody.

Morze miało swój wesoły dzień, światłości pełen.

Wielkie fale latały w szeregach i rozbijały się z szumem o przystań rybacką.

Napróżno usiłowali rybacy zanurzyć w nich wielkie, jak parasol rozwarte sieci.

Kraj był zubożały, domy puste, ludzie odeszli ztąd. Pozostała tu tylko mała wioska rybacka. Tu, jako najmniejszy z nich wszystkich, postanowił żyć Gilbert.

XXI.

Poznali w nim prostaczka, dobrego człowieka, przyjęli go między siebie, przywykli do niego.

Służył im, za co go żywiono.

Rybakowi, który mu pierwszego dnia ofiarował gościnę, naprawił łódkę. Wymalował na jej piersi Maryę, gwiazdę morską, całkiem prymitywnie, i oczarował tem wszystkich. Ci, którzy nie mieli starych łodzi rodzinnych i budowali nowe, przychodzili do niego, prosząc, aby im wymalował obraz Bogarodzicy na czarnej piersi łodzi, przyjaciółki wiernej. Przychodzili doń i rybacy z sąsiednich wsi i wszystkim zdobił i poświęcał łodzie swymi obrazkami.

Pielęgnował chorych, starych rybaków i małe dzieci.

Nauczył się także naprawiać sieci i pomagał we wszystkiem, gdzie tylko było trzeba. Ukołysany falami na łodzi, śpiewał pieśni marjańskie i przysłuchiwał się im.

Morze szumiało i szumem swym kołysało serce jego. Nie miało słów, ale wiedziało wszystko, wiedziało najwięcej i codzień muzykalniej i dokładniej tworzyło swój wielki poemat, którym zwierzało mu piękno piękna.

Nie miał już myśli, lecz tylko serce, niby powietrzną harfę, która wibrowała, drżała i śpiewała pieśni w oddaleniu harmonizowane.

Po morzu, daleko od brzegu, jeździły wielkie statki; jechały na wojny, na uroczy-

stości, do Indyi i Bóg wie jakich jeszcze ziemi.

Wyciągał do nich ręce, jakby się ich chciał dotknąć i spytać, czy nie jedzie na nich przypadkiem jaki dobry człowiek, któryby miał dla niego uśmiech, krynicę szczęścia, białe róże i słowo dziękczynienia.

Kochał wiosnę, czuł, gdy nadchodziła zdaleka, a upajała go tak, że z okrzykiem radości tulił się do ziemi. Przysłuchiwał się ptakom, śpiewającym, jak wówczas, w piękny dzień wiosenny, w sadzie w bzowym, gdzie poraz pierwszy pojął radość i szczęście.

XXII.

Mijały lata, lata cichego życia, szczęścia, zrodzonego przez piękno i tajemnicę świata, nadzieję i oczekiwanie.

Daleko przesuwały się wielkie okręty, wracające z wojny, z wypraw kupieckich do Indyi, z nieznanych krajów.

Gilbert wierzył, codzień, lata, długie lata, że przecież jeden z nich zatrzyma się w ich rybackiej przystani i że wyjdzie z niego na ląd ktoś piękny, wiecznie młody, z czarnym

wiankiem włosów nad srebrzyście bladą twarzą.

Miał już czterdzieści lat, a włosy srebrzyły mu się na skroniach, gdy po raz pierwszy ośmielił się spytać rybaków, kiedy tu u nich wreszcie — wreszcie przystanie wielki okręt, przybywający z dalekiego świata.

Powiedzieli mu, a to już dzieci tych, którzy go tu przed szesnastu laty powitali, że przystań jest płytka, budowana tylko dla ich łódeczek i że dlatego nigdy nie może tu zawinąć wielki okręt z podróżnymi lub wreszcie z żołnierzami, marynarzami.

Tajemnica morza zdała mu się być od tej chwili smutniejszą.

XXIII.

Kochał ludzi smutnych, zniszczonych, jak on sam, najbardziej zaś kochał bezdomnych, którzy wierzyli i wiedzieli, że są najszczęśliwszymi.

Zapomniał swą twardą wiedzę teologiczną.

Z Bogiem swym mówił, jak mały żaczek z nauczycielem mądrości, posyłał mu czułe pozdrowienia z wietrzykiem porannym; jego stosunek do Boga był niepokalanym.

Rybacy wiedli ciężkie życie, pełne niebezpieczeństw, nie było tedy między nimi małostkowości, a prócz tego Gilbert długo nie umiał ich języka i żył między nimi, jak niemy i ze wszystkich najpokorniejszy, bo bezimienny. Dorastały już dzieci, które kiedyś piastował i niańczył. Kochał je i znał wszystkie ich cierpienia i tęsknoty.

Serca dziewcząt pełne były miłości; miały kochanków, których nie wolno im było poślubić.

Gilbert wiedział o tem i czuwał nad ich miłością.

Stał się obrońcą wszystkich znajomych, czemś w rodzaju niemego kamienia, pod którym kochankowie chowali swe liściki miłosne, któremu powierzali swe pozdrowienia i westchnienia.

XXIV.

Zaczął naraz więdnąć, trapiony jakąś cichą, długą chorobą.

Nadeszła wiosna, rozkwitły migdały, zajaśniało słońce, lecz nie usunęło choroby.

Przypominał sobie ojczyznę, dzwony wołały go do kościoła, usłuchał. Osłabiony

wędrował do klasztoru, w którego starej świątyni, z gruzów pogańskiej świątyni wzniesionej, leżało w szklannej trumnie ciało wielkiego świętego.

Fronton kościoła był z różowego, jakby rdzą skażonego kamienia, słupy portalu dźwigały lwy; po lewej stronie ciągnął się romański korytarz z drogą krzyżową.

Gilbert zeszedł do grobu pod ołtarzem, ukląkł w tym gaju słupów z białego marmuru i pokłonił się wybielałym kościom wielkiego świętego.

Głowa jego była umęczona.

Czuł się słabym, czuł, że serce jego jest znużone. Nie mógł oddychać.

Przeto wyszedł na korytarz z drogą krzyżową, usiadł w jednej z framug, oparł głowę o marmurowe słupki i rozejrzał się.

Oto znowu nadeszła wiosna.

Cały świat pełen był nowego życia, pieśni i miłości.

Słońce świeciło i grzało, przenikając mu aż do serca.

Rozkwitła wielka magnolia, duma klasztoru i całej okolicy, ogromne drzewo, rosnące w podwórzu korytarza i sterczące wysoko ponad dach klasztorny.

Jego wielkie kwiaty, niby z różowej por-

celany zrobione, rozwarły się z miłości dla słońca.

Przeszli obok niego kochankowie, szepcząc straszliwe, pełne nieodgadnionych przeznaczeń a cudne słowa tajemnicy miłości.

Gilbert je znał, czuł, jak ich smutne piękno przenikało go do głębi jego serca. I ogarnęła go jakaś radość. Bóg wie zkąd, ale była to wielka radość ze wszystkiego.

Chwilami jaśniej czuł jakąś błogość na myśl o tem, że choć już dawno przestał być młodym, choć młódź omija go, licząc się z nim o tyle, o ile liczyłaby się z niemym kamieniem, to przecież on widzi, czego nie widział jako młody, widzi, że cały świat jest jedną miłością, jednem wielkiem współczuciem.

Był Wielki Czwartek, po raz ostatni rozdzwoniły się dzwony, dzwony przedwielkanocne, poraz ostatni zagrały mu nad głową, rozśpiewały się nawet tam, w małych kościołkach, hen! wysoko w górach, wśród gajów oliwnych.

Zdawało mu się, że dźwięki ich lecą gdzieś w wysokości niebios, że mówią głosem słodyczy i tryumfu pełnym.

Słuchał—i naraz spostrzegł, że gdzieś da-

leko coś miesza się z ich śpiżową pieśnią.

Głosy młode, żywe, jak źródła z nim bijące, śpiewały pieśń wielkanocną, zbliżając się ku klasztorowi.

Gilbert podniósł znużoną białą głowę, delikatną twarz pełną śladów wewnętrznego życia i ujrzał zbliżający się orszak młodzieży, którą wychował i kochał, orszak zakochanych z rybackiej wsi, do której jako bezimienny przyszedł przed dwudziestu laty.

Niektóre dziewczęta miały na sobie białe suknie i niosły w podniesionych wysoko rękach długie festony z barwnego kwiecia, inne—gałęzie kwitnącej myrty lub pomarańczy.

Otaczał je obłok woni, południowej, gorącej woni.

Wielkie słońce zatopiło je swem białem światłem, zalało niem całą okolicę, dyszącą wielką słoneczną miłością.

Byli to kochankowie, którzy za jego pośrednictwem posyłali sobie słowa miłości.

Znał ich wszytkich, wszystkich do ostatniego. Widział, jak dorastali i wchodzili w życie.

Przyszli do kościoła z uśmiechem i pieśnią na ustach, rozradowani światem bożym.

#17920

Gilbert zapatrzył się na nich, śledził każdy ich krok, a jego dobre oczy napełniły się łzami radości i spokoju.

Wargi jego szeptały im na drogę czułe słowa pożegnania:

— Idźcież tylko, idźcie i wejdźcie w ogród jec Eden, w ogród jec życia!

Zamknął oczy i przytulił się silniej do chłodnych marmurowych słupków.

Śpiew kochanków ginął w kruchcie kościelnej.

Gilbert, już nie pełna smutku istota ludzka, ale jeden płomień słodkiej radości, usypiał cicho i po raz ostatni, obleczony w szaty rybackie, bezimienny i zapoznany, w blasku słońca południowej wiosny, upojony miłością dla wszystkiego, co żyje i co umiera, tajemnicą, z której zwierzyło mu się morze, wichry wschodnie i szarpane przez nie niespokojne lasy.

323896
LUBLIN

SŁOWO wchodzi z dniem 1 Stycznia r. b. w nową fazę swego rozwoju.

Od dnia tego prócz popołudniowego numeru, który pozostanie w objętości niezmienionej, ale bogatszy w treść i bardziej niż dotąd urozmaicony, wychodzić będzie codziennie (oprócz poniedziałku) o godz. 7 rano

Poranny dodatek „SŁOWA"

zawierający: **telegramy wieczorne i nocne**, (agencji i własnych korespondentów), telegraficzne **sprawozdania z Dumy i Rady Państwa**; ostatnie **wiadomości** z różnych dziedzin.

Popołudniowe numery „SŁOWA" wychodzić będą codziennie z wyjątkiem niedziel i ważniejszych dni świątecznych.

Pomimo, że w ten sposób „Słowo" od dnia 1 stycznia wychodzi dwa razy dziennie

Prenumerata „Słowa" pozostaje niezmienioną.

CENY PRENUMERATY: W Warszawie: Rocznie 9 rb. półrocznie 4 rb. 50 kop., kwartalnie 2 rb. 25 kop., miesięcznie 75 kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się 5 kop. na miesiąc. — Z przesyłkę pocztową: Rocznie 12 rb., półrocznie 6 rb., kwartalnie 3 rb.—Zagranicą: Z przesyłką pod opaską za nadesłaniem prenumeraty wprost do Administr. „Słowa": Rocznie 15 rb., półrocznie 7 rb. 50 kop., kwartalnie 4 rb. miesięcznie 1 rb. 35 kop.—W Austryi i Niemczech najlepiej prenumerować na poczcie. Zmiana adresu 20 kop. Pojedynczy Numer „Słowa" 3 kop.

CENY OGŁOSZEŃ: Za jeden wiersz garmontowy, lub jego miejsce: przed tekstem 50 kop., w „Nadesłanych" 40 k., w reklamach 25 kop. Za jeden wiersz petitu lub jego miejsce w ogłoszeniach zwyczajnych 10 kop. w Nekrologji 15 k. Ogłoszenia drobne po 2 kop. od wyrazu.—Ogłoszenia drukuje się tylko w języku polskim.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Ś-to Krzyska 34.

WARUNKI PRENUMERATY

„NOWOŚCI LITERACKICH"

(24 tomy rocznie).

W Warszawie:	kwartalnie . .	1.50	Z odn. do domu.
	półrocznie . .	3.—	
	rocznie . . .	6.—	

Sześć tomów kwartalnie za 1.50, t. j. po 25 kop. tom. W sprzedaży pojedynczej tomami, cena znacznie podwyższona.

Na prowincyi:	kwartalnie . .	1.80	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie . .	3.60	
	rocznie . . .	7.20	
Zagranicą:	kwartalnie . .	2.15	Z przesyłką poczt. abonam. bezpośredni.
	półrocznie . .	4.30	
	rocznie . . .	8.60	
W Galicyi:	kwartalnie	Kor. 4.50	Abonament w księgarniach.
	półrocznie . „	9.—	
	rocznie . . „	18.—	
„	kwartalnie	Kor. 5.—	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie . „	10.—	
	rocznie . . „	20.—	
w W. K. Poznańskiem:	kwartalnie	Mk. 4.—	Abonament w księgarniach.
	półrocznie . „	8.—	
	rocznie . . „	16.—	
„ „	kwartalnie	Mk. 4.50	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie . „	9.—	
	rocznie . . „	18.—	

Gustowna oprawa płócienna kosztuje po 15 kop. od tomu. Oprawa każdych 6 tomów kwartalnie, wyniesie przeto kop. 90, Koron 2,50, Marek 2.

Redakcya i Administracya w księgarni i składzie nut STANISŁAWA SADOWSKIEGO, w Warszawie, Marszałkowska 115 tel. 113-56.

Prenumeratę przyjmują również wszystkie księgarnie polskie w kraju i zagranicą.

Wydawnictwo rozpoczęte i Października 1908 r.

Biblioteka im. H[illegible]ronima
Łopacińskiego w [illegible]ublinie
323896
1000072179